

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 18

Jerozolima, 16 grudnia 1943 r.

Rok I

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

KARPAACKA BRYGADA W DRUGĄ ROCZNICĘ BITWY POD GAZALĄ

I

Rozkazem Naczelnego Wodza z dnia 2 kwietnia 1940 r. została stworzona Brygada Strzelców Karpackich, która weszła w skład armii Lewantu. Brygada ta po upadku Francji przeszła na teren Palestyny, by następnie znaleźć się w Egipcie. Stąd, przesunięta na Pustynię Zachodnią a następnie do Libii, wzięła udział w obronie Egiptu.

W czasie tych działań Brygada Karpacka odniosła szereg sukcesów i wykazała wysokie wartości bojowe. W walkach tobruckich poszczególni żołnierze, oddziały i dowódcy od najniższego do najwyższego szczebla wykazali sprawność bojową, odwagę i poświęcenie. Generalną próbą Brygady jako całości była bit-

przez nich wykonywane odznaczały się precyzją, sumiennością i pomysłowością. Żołnierze Brygady Karpackiej stanowią zwartą rodzinę, którą związały przeżycia, miłość do swego dowódcy oraz świadomość, że w okresie najcięższych prób musieli szukać oparcia przede wszystkim w samych sobie i swoich kolegach. Brygada Karpacka, przebywszy pod jednym dowódcą i prawie bez zmian w sztabie długi okres kampanii pustynnej, wytworzyła duszę zbiorową. Złożyło się na to wiele czynników. Przede wszystkim wspólne, dopiero co w skrócie opisane przeżycia.

II

Z kolei rzeczy musimy wziąć pod uwagę te wszystkie tradycyjne cechy Wojska Polskiego, które wywarły wpływ na umysłowość przeciętnego żołnierza Brygady.

Jeżeli odrzucimy historię wojska polskiego z czasów Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, która nie mogła wpłynąć na umysły najszerzych kół Brygady, to najdawniejszą tradycją, do jakiej mimowolnie nawiązywał żołnierz, będą Legiony Dąbrowskiego. Nie na darmo mottem pisma ideowego Samodzielnej Brygady Karpackiej był cytat z „Sułkowskiego” — Żeromskiego: „Będziemy się walić w cudze rowy i ścieżki obcych dróg, ale dojdziemy!” Świadomość, iż mimo tego, że na obcej ziemi, w ramach cudzej armii, służyli żołnierze Brygady swej własnej, polskiej racji stanu, pomogła przeżyć najtrudniejszy bodaj kryzys, jaki SBSK przeżyła, wymaszerowanie z Syrii i przejście do Palestyny. Ta też świadomość podsycała dowódcy Brygady stanowisko pełne honoru w rozmowie z gen. Mittelhauserem. Działo tu też świadomość, iż gdzieś, tam daleko, istnieje Naczelną Wódz i Szef Rządu Polskiego, wedle którego wskazówek dowódca Brygady działa.

Sama nazwa „Brygada” nasuwała mimowoli asocjacje z brygadami Legionów Polskich z czasów pierwszej wojny światowej. I tu była chyba druga więź historyczna, o której można wspomnieć. Znaczenie tej więzi podkreślał i ten fakt, że skład Brygady, daleko odbiegając od normalnych oddziałów wojska polskiego w Kraju z czasów pokoju czy też z Kampanii Wrześniowej 1939 r. Byli to ludzie ze wszystkich dzielnic Polski, wszystkich stanów i zawodów, w różnym wieku, którzy przeszli granicę po ustaniu działań wojennych. Byli wreszcie tam i tacy, którzy nigdy Polski nie widzieli, jak np. grupa ochotników z Charbina i z Szanghaju, którzy czasami nawet nie władali językiem polskim. Była w Brygadzie i grupa żołnierzy z Francuskiej Legii Cudzoziemskiej, którzy w momencie rozejmu porzucili szeregi francuskie, by dalej walczyć o polską sprawę. Bardzo charakterystyczną cechą było to, że żaden z oddziałów Brygady nie usiłował nawiązać do tradycji któregośkolwiek z pułków, jakie formowały się w Polsce po pierwszej wojnie światowej.

Jeżeli idzie o nastrój, któryby określał stosunek do służby wojskowej, to Brygada była oddziałem ochotniczym. Momentem bowiem, skłaniającym w głównej mierze do służenia Ojczyźnie z bronią w ręku, była nie świadomość powołania przez odpowiednią Komendę Uzupełnień do oddziału wojskowego, lecz pragnienie spełnienia swojego obowiązku, wynikającego z podstawowych uczuć obywatela i członka swego narodu.

III

Dość znaczny procent żołnierzy, to byli ludzie, którzy przeszli przez granicę węgierską czy rumuńską już po okupowaniu całej Polski. Przypatrzywszy się stosunkom, istniejącym po wrześniu 1939, nie znaleźli oni innego sposobu realizacji swoich pragnień służenia ojczyźnie. Procent elementu ideowego był zatem w Brygadzie bardzo wysoki.

Z drugiej strony Brygada nie była czymś w rodzaju pospolitego ruszenia i nie miała charakteru oddziału powstanieckiego. Odsetek bowiem żołnierzy, którzy odbyli służbę wojskową w kraju, jak też oficerów służby stałej był bowiem znaczny. Cała grupa oficerska i szarże miały formalne kwalifikacje w myśl naszych przepisów wojskowych.

Powstał z tego stop bardzo szlachetny —

metal twardy, który potem wytrzymał wszystkie temperatury ognia walk czy prób moralnych.

W Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich znalazła się nieproporcjonalnie wysoka ilość oficerów dyplomowanych. Obdarzeni najwyższymi kwalifikacjami wojskowymi i obywatelskimi potrafili sprostać zarówno w okresie organizacji Brygady, — który to problem wybiegał daleko poza granice normalnych trudności, — wszelkim wymaganiom, stwarzanym przez sytuację. Stworzyli oni trzon sztabu Brygady, który następnie stanowił znakomitą szkołę praktyki wojennej.

Obraz Bzygady i jej duchowego oblicza nie byłby kompletny, gdyby nie wspomnieć o jeszcze jednym rysie charakterystycznym, który ją cechował. Duży procent żołnierzy — to inteligencja zawodowa, studenci uniwersytetów, a nawet reprezentanci nauki. Twarda konieczność i warunki, w jakich Brygada się znajdowała, przeprowadzały selekcję ludzi na stanowiska, w których przydatność głównie była brana pod uwagę. Ta inteligencja Brygady pogłębiała jej życie duchowe. Tworzyła z niej pod pewnym względem nie tylko oddział wojskowy, ale nawet ośrodek życia intelektualnego. Dzisiaj można już mówić o poezji czy nawet teatrze Brygady Karpackiej. Gdyby dziś zebrać utwory literackie, które osnuto na tle przeżyć Brygady Karpackiej, powstałby tom kilkusetstronicowy.

IV

Wysoki procent inteligentów w szeregach powodował, że zasadnicze problemy, które nasuwały się każdemu Polakowi w związku z katastrofą wrześniową, były przedmiotem żywej dyskusji. Nigdy jednak krytyka czy dyskusja polityczna nie dały podstawy do osłabienia morale oddziałów Brygady, nie spowodowała osłabienia zaufania do dowódców. Dzisiaj okres organizacji Brygady przedstawia się w pamięci jej żołnierzy jako rozwiązanie w pierwszym rzędzie trudności, związanych z formowaniem, szkoleniem, zaopatrzeniem i motoryzacją Brygady. Okres ten był jednak także okresem fermentu i ustalania się poglądów na zasadnicze polskie zagadnienia społeczne i polityczne. Związka z początkowym okresem wspomnienia z niedawnej przeszłości oraz zmieniająca się sytuacja polityczna, narastające zagrożenia wojskowego w Afryce Północnej, prowadziły do dysput, wymiany zdań i opinii. Poziom ich odbiegł daleko od tego wszystkiego, co było przedmiotem dyskusji w oddziałach wojskowych w czasach pokojowych. Wśród gromadzących inteligencję znalazła się spora liczba działaczy politycznych i społecznych, często radykalnych. Spora liczba dziennikarzy, znających od wewnątrz życie państwowe, w dyskusjach tych dawała oświecenie, gruntowniejsze i bardziej wnikliwe, niż te, z którymi można się było spotkać w codziennym życiu.

V

Trudności z tego okresu zostały pokonane dzięki osobistemu walorom, sile charakteru, taktowi i mądrości Dowódcy Brygady. Potrafił on stworzyć wokół siebie atmosferę rycerskości, zrozumienia dla wad i przywar ludzkich, stosowania do sytuacji i jednostek ocen indywidualnych. Nieubiegany dla siebie i innych, jeżeli idzie o interes służby, umiał zrozumieć słabości i potrzeby żołnierza, zastosować doskonały umiar w ocenie zjawisk, które napozór mogłyby prowadzić do przesadnych wniosków. Spokój, trzeźwość w ocenie sytuacji, życie się w położenie, w jakim Brygada znajdowała się w początkowych swoich stadiach, dały doskonałe wyniki. Jak to bardzo często bywa, wątpliwości i obawy, które miał każdy żołnierz Brygady, składały na konto wiary w Dowódcę. Nie mogąc niejednokrotnie znaleźć odpowiedzi na dręczące pytania, co przyszłość przyniesie, jak przysięga Polska wyglądać będzie, jaką zając wobec rzeczywistości postawę, odwoływał się żołnierz do osoby, która musiała mu wystarczyć za sztab, za program, która była mu uosobieniem całej racji walki na obcej ziemi.

Było to tym łatwiejsze, że Dowódca Brygady był w codziennym życiu postacią peł-

W numerze:

Z. Kleszczyński: Wieczory tobruckie. — J. Nowak: Odpowiedzialność Niemców za zbrodnie wojenne. — J. O—ski: W poszukiwaniu wymownego pomnika. — D. Falska: Cywilna armia brytyjska. — W. Chomentowski: Gazala. — Poezja Brygady Karpackiej. J. Bielatowicz: Ziemia Cyrenaiki. — B. Kobrzyński: Przeciwpancerń. — B. Andrzejewski: Upiór. — T. Sowiński: Groteska. — M. Helmar: Menażka. — W. Wojtecki: Zakochała się dziewczyna. — S. Pleszczyński i T. Sowiński: Garden Party. Sztuka w czterech aktach. Akt III. — kp.: O Kampanii Wrześniowej. — Dwudziestolecie Polskiej YMCA. — M. Jono: Contra spem sperantibus. — D. Szczerbic: Opinie angielskie. — Z prasy obcej. — ww.: Przegląd polityczny. — Polonica amerykańskie. — ph.: Nauka polska w Ameryce.

VI

Żołnierz Brygady nabrał specyficznych cech zewnętrznych. Pewna zuchowatość, sprężystość, może nieco wybujała duma oddziałowa, pragnienie przygód, oto oznaki, po jakich poznawało się „Karpaczka” nawet na dystans. W oddziałach Brygady i jej spadkobierczyni panował nastrój „choinkowy”. Żołnierz Brygady nie lubiał siedzieć na jednym miejscu. Wiecznie marzył o przestrzeni i o zdrowym motorze, któryby go nioś naprzód. Gdy tylko wypoczął trochę i przyszedł do siebie po trudach długiej kampanii, zatuszował do pustyni, gdzie nie ma przepustek, punktów kontrolnych, gdzie człowiekowi obrotom zawsze jest nieźle.

Gdy przekonał się, że nie ma perspektywy szybkiego ruszenia do akcji, szukał możliwości przeniesienia się do lotnictwa czy marynarki. By prędzej ruszyć na spotkanie nowej przygody, „Karpaczek” rezygnował z możliwości awansu, z pozycji weterana w stosunku do mniej doświadczonych kolegów.

VII

Brygada Karpacka nie reprezentuje jednolitego oblicza politycznego, nie wyznaje jednego programu. Przez cały czas jej trwania nie było w jej łonie człowieka, któryby się starał o nadanie jej charakteru siły politycznej. Brygada Karpacka była grupą obywateli, którzy szczerze i gorąco starali się zostać żołnierzami. Zrozumieli bardzo dobrze, że spory polityczne, programy rozbijają zwartą oddziałów. Nie było potrzeby gorącej duszy „Karpaczka” — innej więzi, jak dyscypliny i koleżeństwa. Do przekonania żołnierzy Brygady Karpackiej nie usiłowano trafiać momentem demagogii. Przekonania takie czy inne pozostały sprawą prywatną, a szacunek dla jednostki był podstawowym kryterium stosunków służbowych czy poza służbą.

Dzisiaj na polach bitew pustyni libijskiej panuje cisza i tylko wiatr przysypuje ślady niedawnych zmagani, w których siły obozu walki z ideałami kultury zachodniej usiłowały zadać cios śmiertelny przyszłości naszej i innych narodów cywilizowanych. W piaski pustynne wsiąka krew żołnierza polskiego, który tam nawiązywał alians serdeczny z innymi żołnierzami sławnej już dzisiaj VIII Armii. W ogniu, w walce z naturą, w tęsknocie za domem ojczystym i najbliższymi wykukowało się oblicze duchowe tej nielicznej stosunkowo grupy ludzi. Każdy żołnierz Brygady nioś ze sobą kapitał uczuć, których pozycja straty domu, rodziny, powiększała się o straty kolegów i przyjaciół, poległych na polu chwały. Ile te straty dla nich znaczyły, pojmie ten, kto widział czy to pogrzb Pieniążka, czy sierżanta Szymankiewicza, czy wielu, wielu innych, których bardzo często tylko okrucy składano na cmentarzu twierdzy libijskiej. Wspólnym wysiłkiem jednak te straty przemieniły się w żywe siły, dzięki temu, że losy pozwoliły nadać sens poświęceniu i pracom, budując nadzieje na powrót, na ostateczne zwycięstwo.

Brygada Karpacka nie stworzyła obozu politycznego. Stworzyła jednak obóz ludzi, dla których poświęcenie własnych osiągnięć i ambicji na ołtarzu wspólnej Sprawy, podejmowanie się zadań nie z perspektywą korzyści jest nakazem moralnym. Żołnierze Brygady Karpackiej mogą należeć do różnych obozów, mogą mieć różne przekonania, ale zawsze wierzą w czystość intencji kolegów, którzy razem z nimi epopeję karpacką przeżyli, będą zawsze mieli szacunek dla każdego uczciwego człowieka.



GENERAL STANISŁAW KOPAŃSKI

wa pod Gazalą, gdzie cała jednostka odniosła duży sukces, mający znaczenie operacyjne dla przebiegu ofensywy. W działaniach odwrotowych pod Mechile i ponownych działaniach pod Gazalą wykazała sprawność, spokój, równowagę i zaufanie do swego dowódcy.

Dzisiaj Brygada Karpacka należy do historii. Jako pierwszy oddział lądowego wojska polskiego wzięła udział w walce u boku wojsk brytyjskich wówczas, gdy walczyła jej wskutek szczupłości sił, broniących Egiptu, oraz niedostatecznego ich uzbrojenia, była szczególnie duża.

Koleje wojny zmieniały niejednokrotnie przewidywania co do przyszłości Brygady. Wysłana jako pierwszy oddział do złuzowania XI Dywizji Austrialskiej w Tobruku, wskutek biegu wypadków i przewlekania się postępu ofensywy VIII Armii zajmowała odcinek na przeciw Medauaru dłużej, niż jakakolwiek inna jednostka, która broniła fortecy. Ponieważ oddziały brytyjskie, broniące fortecy, jak też korpusy VIII Armii, poniosły straty większe, niż przewidywano, wzięła Brygada udział w pościgu, w wyniku którego stoczyła bitwę pod Gazalą. W pdzeddzień wycofania się wskutek ofensywy Osi z Cyrenajki i w trakcie przekazywania zadań ochronnych oddziałom Wollnych Francuzów została użyta do przesłonięcia odwrotu sił brytyjskich pod Mechile, a następnie do powstrzymania ofensywy Rommela pod Gazalą.

We wszystkich tych działaniach towarzyszyło nieodmiennie Brygadzie szczęście. Ale także towarzyszyła jej sumienna praca dowódców, żołnierzy, szlachetna ambicja, by być lepszym, wykazać więcej poświęcenia i koleżeństwa we wspólnym wysiłku.

Bardzo ważnym elementem, który stanowił jedną z przyczyn powodzeń Brygady, była gorliwość oficerów i żołnierzy w poznawaniu tajemnic wojny nowoczesnej. Artyleria, saperzy, łączność Brygady pod względem technicznym stały zawsze bardzo wysoko. Prace

IGNACY KLESZCZYŃSKI

WIECZORY TOBRUCKIE

W szereg piaszczystych fałdów, spływających łagodnie ku morzu, wkopały się liczne schrony. Nazwa była nieco szumna. W rzeczywistości jedynie niektóre z nich posiadały mocne stropy, o konstrukcji z wodociągowych rur żelaznych przywleczonych z Tobruku i z worków piasku. Inne, w większości były mniej czy więcej głębokimi dołami o kilkumetrowej powierzchni, nad którymi rozciągał się dach, dobrze zamaskowany i zlewający się z terenem.

W tych fałdach, spływających ku morzu od Gebel Abd Rabah, mieszkali żołnierze Brygady, których określano brygadową „bohemą”. Siłą też rzeczy poszczególne fałdy nosiły miano ulic, ulic Warszawy. Tam, gdzie się mieściła największa ziemianka, a raczej „piaszczanka” — odznaczająca się wewnętrznym drewnianym oszalowaniem i drzwiami, którą nazywano kasynem — był Belweder. Między Belwederem a Aleją na Skarpie była psia buda, w której wkopali się podchorąży Nowski, kapral Niedźwiedź i strzelec Pochwał. Tutaj też w wolnych chwilach od innych zajęć Nowski prowadził ożywione dyskusje z Pochwałą na temat zasad socjalistycznych, potrzeb życia duchowego i t. d.

W Aleji na Skarpie, w narożnym, większym domu, wśród mieszkańców znajdował się kapral wzrostu niezwykle wysokiego, kiedyś jeden z najlepszych pływaków Warszawy, noszący miano — dość pieszczotliwie ujmujące jego ogromne kształty — Olbrzymka. Nieco dalej był Dom Prasy Polskiej. Lokal był obszerny, wejście długości trzech metrów i wymagające lekkiego raczkowania w okresie burz piaszczystych. Wnętrze zato było bardzo wytworne i wskazywało na obecność tutaj ludzi, zamieszkałych w czystości. Istotnie tak było. Spośród trzech mieszkańców niesłychanie zamieszkałych okazały się najmniejszą wzrostem, sierżant Wróbel. Buntował się ustawicznie przeciwko niezamiataniu piaszczystej podłogi przez swoich współlokatorów Wichurę i podchorążego Herschfelda, ale w końcu zrezygnowany podejmował sam tę czynność. Lokal miał jeszcze inne urządzenie, które przypominało inny świat bardzo odległy. Był nim bar. Tak, bar. Otóż poprzedni mieszkańcy, Australijczycy, wykopali w jednej ze ścian duże zagłębienie, którego podstawę tworzyła stolnica, przypuszczalnie przywieziona z większej jakiejś willi tobruckiej. O czasach świetności baru przypominała butelka z piwa australijskiego i z dzinu. Pod stertą pudełek z napisem „Lim juice powder”, kopertami i listami z nadrukiem „Austral'ian Y.M.C.A.” leżały sterty Mannów, przeważnie bez najciekawszych już fotografii i rycin. Liczni bowiem czytelnicy zdołali te wszystkie piękności rozparcelować po swoich schronach. Luksusowe urządzenie Domu Prasy powiększała znakomita wentylacja. Całość byłaby niekompletna, gdyby jej nie uzupełniała biała skrzynka, przypominająca skąd inąd szafkę kuchenną, z napisem Redakcja. Kryła ona w sobie twórczość poetycką, literacką i malarską całej Brygady w okresie obłężenia twierdzy. Wypadku wiązać z grubymi sznurami, które ją Jej ciężaru gatunkowego nie należy w żadnym przyrzymywały przy belce stropu.

Trzecia fałda nosiła miano Smoczej. Róg jej zajmowała potężna budowla, której poszczególne ściany wzmocniono workami z piasku. W przestronnym przedsieniu mieściła się kantyna, a raczej sklepik żołnierski.

Przedsiónek odgradzał od dalszych apartamentów nieco postrzępiony już koc. W tych dalszych apartamentach, składających się z kilku metrów kwadratowych powierzchni piasku, mieścił się gabinet dyrektorski strzelca Litwina. W skrytnicy po konserwach leżało kilka książek polskich i angielskich, lampa polowa i przedmiot najważniejszy — primus. Niezwykle inteligentny ten instrument służył przede wszystkim do gotowania kawy, której wielką ilość zdołali nasi wypenetrować w starzych składach włoskich w porcie. Była to ziarnista kawa o nieco zwietrzałym już aromacie, która zapewne nie już sercu szkodzić nie mogła. Pod tym względem była zapewne lepszą od kawy „Hag”.

Zapadał cichy wieczór, wieczór wyczekiwania, wieczór nieprzewidywanych wypadków i zdarzeń. Strzelec Litwin z nagromadzonej skrętnie wody słodkiej w dwóch manierkach przygotowywał aromatyczną kawę. Nalewał ostrożnie wodę, by nie uронić kropli, i wysypywał z kartonowego opakowania ziarnistą kawę zbożową. Wszedł Wichura:

— Jak się masz? — pytał Litwin, nie przezywając swej moźnoej czynności.

— Bez zmian. Przyszedłem pogadać z tobą, póki inni nie przyjdą, o tym konkursie.

— Doskonale. Za chwilę będzie już całe zgromadzenie, na które ma również przyjechać Prusko, Średnic, a może, jeśli się uda, Pocheński.

— A to bardzo ciekawe — rzekł Wichura, siadając na posłaniu. — Ale co ty myślisz o dostarczeniu poszczególnym biorącym udział w konkursie, papieru? Nie można przecież wymagać, by utworzy spisywane były palcem po piasku i nam przesyłane.

— Widzisz, sądzę, że wszystkie utwory poetyckie powinny raczej być w ten sposób spisane. Oszczędziłoby to trudu i kłopotu czytelnikom

— Atakujesz bez przerwy naszych poetów, z których dwóch zapewne będzie na dzisiejszym wieczorze. Ale wracając do rozpisania konkursu, co z tym papierem?

— Jedyna rada, nacisnąć Poźniaczka. Trzeba znowu pogadać z Anglikami.

— Nie wiem, czy major coś jeszcze wskóra. Wprawdzie Morshead chciałby drukować nasze pismo i w języku angielskim, ale zaledwie udało się nam wyszukać papier włoski, wystarczający na najbliższy numer pisma. Może więc ty masz w zapasie papier listowy, który moglibyśmy rozesać wśród batalionów dla biorących udział w konkursie...

Dalsze słowa przerwał rumor przy drzwiach wejściowych i głos:

— To chyba tu...

Spód koca wejściowego wynurzył się kapral Średnic w hełmie stalowym, w kurcie skórzanej, z ogromnym „Smith'em” przy boku: — Czołem — wykrzyknął. Po chwili ścisnął kolejno dżonę Litwina i Wichurę.

— Niestety, mój wódz, porucznik Prusko polecił mi panów przeprosić, że nie będzie mógł dzisiaj przyjść. Ma jakąś odprawę u naszego generała.

— A to wielka szkoda. Chcielibyśmy się dowiedzieć szczegółów o śmierci Pieniżka.

Twarz Średnicy stężała. Słowa nie wyrzekł. Dopiero po dłuższej chwili nieprzerwanego przez nikogo milczenia powiedział:

— Mnie się wydaje, że porucznik w ogóle na ten temat nie chce i nie może mówić. Od czasu śmierci Zbyszka, chodzi zupełnie oswiażony, rozszalał. Śmierć chłopaka bardzo go złażała. Mogę wam trochę szczegółów na ten temat o powiedzieć. Byłem przecież w działaniu Zbyszka na t. zw. odcinku śmierci.

Działka nasze stoja na wysuniętej pozycji, na wzgórzu, tuż obok obserwacyjnej wieży artyleryjskiej. Jak wiecie, nie się ciągle nie dzieje. Piechota chodzi ustawicznie na patrol, artyleria bije ze swoich dział, a my dalece czekamy na użycie naszych armatek przeciwpancernych. Nawet Australijczycy znaleźli sobie jakąś godziwą rozrywkę. Otóż jeżdżą samochodami po skarpie, niezbyt odległej od linii nieprzyjacielskich, i czekają na wstrzeliwanie się artylerii niemieckiej. Nieprzyjacieli nie lubi tej zabawy przed pierwszą linią frontu, denerwuje się i próbuje sprawności swoich obserwatorów. Biją więc włoskie działka w taki samochód, ale źle trafiają. Ku uciesze Australijczyków, którzy stawiają poważne zakłady o ilość takich przejazdów — pociski nieprzyjacielskie przeważnie mają opóźnienie. Padają za pędzącym samochodem. Jednak nieprzyjacieli nie jest naiwny. Po dłuższej chwili takiej zabawy daje większe wyprzedzenie i pociski zaczynają padać przed samochodem. Zabawa zaczyna być bardziej emocjonująca. Obserwujemy ją więc z wielkim zainteresowaniem, no i z zazdrością.

Zbyszek ciągle się niecierpliwił i szukał możliwości bezpośredniego zetknięcia się z Niemcami. Oczekiwanie przy działku nie dawało żadnej barwniejszej perspektywy. Ostrzeliwanie z maszynek i ogień artyleryjski — nie wystarczały jego pełnej temperamencie naturze. Zaczął więc spiskować z Pocheńskim, który obok leżał ze swoją kompanią piechoty. Po dłuższych naradach i narzekaniach na brak większej akcji i na niemożność walki, uradzili, że Zbyszek weźmie udział w najbliższym patrolu piechoty. Tak się też stało. Zbyszek miał — jak wiecie — dziewiętnaście lat i ulubionym jego sportem był skok spadochronowy. Musiał więc przy najbliższej okazji ruszyć się z pozycji ppanców i wziąć udział w wypadzie. Uczynił to, zdaje się, w tajemnicy przed swoim dowódcą, porucznikiem Prusko i o to nawet Prusko ma żal do swego przyjaciela Pocheńskiego. Zbyszek prosi dowódcę patrolu, by mógł iść na czele. Wypad szczęśliwie minął pola minowe nasze i po przejściu „no mans land'u”, począł forsować włoskie pole minowe. Tutaj przywitali ich Włosi, którzy ich odkryli w świetle rakiet, niezwykle mocnym ogniem maszynek. Nasilenie ognia było tak wielkie, że dowódca patrolu przez chwilę wahał się, czy w tej sytuacji wykonanie zadania nie będzie opłacone zbyt wielkimi stratami. Ale po chwili wydał rozkaz: „Mimo ognia, nacierać przez pole minowe”. Na to tylko czekał Zbyszek. Skoczył ku przodowi, porwijąc swoim przykładem cały oddział. Włosi, widząc odważny oddział nacierających, puścili w ruch swoje moździerz. W huraganowym ogniu wypad podrywa się ustawicznie, rozbraja miny i idzie, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Zbyszek był w swoim żywiole. Ustawicznie na samym czole pierwszy podrywał się, by wreszcie dopaść linii nieprzyjacielskich. I kiedy się zdawało, że patrol stracalców dojdzie — pocisk z moździerza ugodził Zbyszka w skroń. Dowódca patrolu zatrzymał się i wobec tej straty postanowił wycofać się. Pocheński i strzelec Bregman naprzemian nieśli zwłoki pod gradem kul nieprzyjacielskich. Opowiadali mi ci, którzy z tym patroliem wrócili, że obraz był niesamowity. Drugi i chudy Pocheński i jeszcze wyższy Bregman w świetle rakiet nieprzyjacielskich, huraganu ognia pościgowego, nieśli zwłoki Zbyszka. Minęli tych kilka kilometrów, i staniając się, zupełnie bezzilni doszli do naszych pozycji.

— Generał ich odznaczył?

— Pocheński i Bregman dostali Krzyże Walecznych za zachowanie się pełne odwagi i

koleżeństwa. Rozkaz o Pocheńskim mówił między innymi: „Bierze udział w każdym patrolu. Odnacza się nieustraszoną odwagą i pogardą śmierci”. Równocześnie poszedł wniosek do Naczelnego Wodza o nadanie Virtuti Militari Zbyszskowi. Straciliśmy najlepszego żołnierza i najserdeczniejszego towarzysza.

W czasie opowiadania, w schronie Litwina zgromadzili się niespostrzeżeni poeta Lasko, Nowski, Herschfeld, strzelec Wandowski, strzelec Dąbiec, poeta Zbigniew Zbrynjar. Wszyscy w skupieniu słuchali opowiadania o Pieniżku, sącząc kawę z menażek i kubków.

Lasko skończył deklamować swój wiersz. Podobał się. Wichura tylko z ironicznym uśmiechem proponował:

— Mnie się wydaje, że znacznie lepiej byłoby, gdybyś zrezygnował z pisania wierszy i przeszedł wyłącznie na tresowanie psa...

Lasko bowiem znany był w Brygadzie ze swej rewii, wystawionej kiedyś w pustyni w Sidi Heneish, pod tytułem „Ich pięciu, Lasko i pies”. — Była to parafraza znanej sztuki wystawianej przez czołową brygadową, pod tytułem „Ich ośmiu i ona jedna”.

— A jednak wiersz ten i tak wydrukujesz — mówił Litwin — udał się.

— Skończmy z poetami — wyrzekł Nowski. — Może coś konkretnego. Co słychać z żołdem?

— Poco ci żołd? Do knajpy pójdziesz czy do kina?

— Dla zasady pytam. Zresztą może niedługo w sklepiku będzie można kupić krem Nivea...

— Zaraz wam to wyjaśnię — odpowiedział Dąbiec. — Byłem w kwaterze głównej i dowiedziałem się, jakie odyssowe przejścia miał nasz płatniczy Bulek.

Pięknego wieczora wrześniowego, w poszumie silników lotniczych nieprzyjaciela, przy nieco hałaśliwej symfonii artyleryjskiej, a poza tym w pięknej, bo czarnej jak atrament noc afrykańskiej, kapitan Bulek wyjechał z Tobruku. Iluminowano port, piękne lampiony bujały sobie po atłasowym nieboskonie, czerwone i zielone pociski świetnie śpiewały hymny pożegnalne na cześć wyjeżdżających. Wiadomo, brygadowy Odysseusz jechał po złote runo funtowe dla dzielnich obrońców twierdzy. Jechał z mirażem cieplej kąpieli, słodkiej wody, piwka, aż po aleksandryjskiego „Atineosa” włącznie z perspektywą na przyjemne następstwo pięknej Heleny. Mimo torped, bomb i innych przyjemności spokojnej skąd inąd podróży po morzu Śródziemnym, skarbnik kopańszczyków dojechał do Skandaryi. Pobrał ogromną ilość funtów i czekał na powrót. Skracając sobie czas, urzeczywistniał swoje i nasze tobruckie marzenia. Kąpiel, piwo, „Atineos”, czarna — chyba nie kawa — wtrącił Nowski. — Nie przeskaczaj...

Wreszcie Bulek otrzymał zawiadomienie, że czas wracać. Spakował więc forszę w kilka skrzyń, wezwał swoją eskortę przyboczną oraz przydzielonego na czas wyprawy lekarza i ruszył. Pociągami dojechał do Marsa Matruh. Tutaj rozbił swoje namioty i wśród conocnych nalotów czekał spokojnie na powrót. Okazało się, że miał jechać barką, służącą do przewożenia sprzętu pancernego. Przyboczny lekarz twierdził, że ma pękniętą czaszkę, i zemdlął. Do dzisiejszego dnia leży w szpitalu. Bulek w roli Odysseusza zebrał resztę odważnej eskorty i poszedł po funtowe skrzynie. Przy pięknej nocy wypłynął z portu w Marsa Matruh. Księżyc był słiczny, gondola też, brakowało tylko gitary i Kiepur. Na drugi dzień, około 10-tej rano, fregata zarzuciła kotwicę na pełnym morzu. Barka wróciła z powrotem do portu. Złote runo pozostało na gondoli wraz z eskortą, kapitan wrócił pod namioty, naloty wrzastały. Skutek był taki, że jeszcze jeden członek eskorty odpadł. Po kilku dniach Anglicy orzekli, że można płynąć bezpiecznie. „Płyni barko moja, pogoda sprzyja — niech cie prowadzi Santa Dulija” — i nasz płatnik wypłynął. Ruszyli przy jasnej jak dzień nocy i przy małej fali. Łaskawy Neptun lekko tylko machał trójzębem, mącąc wodę, której bryzi mile łechtały Odysseuszowe nogi. Około czwartej nad ranem rozległy się zupełnie wyraźne warkoty motorów, krążących nad romantycznymi barkami. Jedyna armatka, która stanowiła uzbrojenie barki, rozpoczęła ogień. Samoloty kołowały, strzelając, z czego mogły, a do tego chóru przyłączył się piekielny jazgot cekaemu i strzały artyleryjskie patrolowca nieprzyjacielskiego. Barka tańczyła w takt znanego walca „Raz na lewo, raz na prawo, trochę naprzód, trochę w tył”. Mocno więc Bulek trzymał pancerną skrzynię z funtami, ale nie uratowało to prawej burty, która została uszkodzona pociskami artyleryjskimi. Barka nadała sygnał S.O.S., zażaga wdziała pasy ratunkowe i niewiadomo jeszcze na co czekała. I nagle wszystko ucichło. Bitwa morska się skończyła. Zaterkotał aparat radiotelegraficzny i flotylla wróciła z powrotem do Marsa Matruh. Nic się nikomu nie stało, tylko funty zamokły całkowicie. W Marsa Matruh Bulek suszył wilgotne runo, wśród tragicznych sporów. Gdy je wywieszał na sznurkach miał awanturę z powodu przepisów biernej obrony przeciwlotniczej. Rozkładał więc je na piaskach — to znowu wiatr mu je rozwiewał wokół. Przykładał więc szyfrową pracę do każdego funta jeden kamień, tak, że ich za-

brakło w całej okolicy. Po długich tarapatkach Bulek przypłynął mocniejszym konwojem do Tobruku.

— No to forsa jest — wykrzyknął Nowski. — A dlaczego nam jej nie dają.

— Oczywiście, dalej ją suszą — wyjaśniał Lasko.

— Dość plotkowania — odezwał się Litwin. — Nie skończyliśmy ostatnio dyskusji o indywidualności.

— Tak, tak, — odezwały się głosy.

— Referuje Wichura.

— Choroba indywidualności, to jedna z najgroźniejszych w społeczeństwie naszym. Każdy pragnie jedynie swój wyłączny pogląd na daną sprawę wprowadzać w życie. Jedynie jego myśli, jego sposób ujmowania rzeczy jest najślusniejszy i najlepszy. Idealnym dla nas byłby ustrój, w którym odrębne poglądy polityczne każdego byłyby w całej rozciągłości realizowane. Tylko i wyłącznie jego. Jest to chorobliwy przerost ambicji, sobiepaństwa, które u nas staje się przekleństwem. Przed wojną, każdy nowy szef w administracji państwowej, w gospodarce, w wojsku oznaczał się przekreśleniem każdego poprzedniego dorobek. Jednym pociągnięciem pióra niszczone dotychczasowe zrealizowane już i dokonane prace. Niszczono cały poprzedni dorobek. Przy naszym kulcie niefachowości musiało to wywoływać groźne dla całości państwa państwowej drgania, które zmieniły się we wstrząsy. Wszystko było tymczasowością, związaną z jedną osobą. Każdy nowy kierownik takiej czy innej dziedziny wprowadzał nową kartotekę, nowy system. Każdy Polak chciał być albo przynajmniej naśladować szlachcica na zagrodzie, równego wojewodzie. I w tym zjawisku leży też przyczyna nierówności naszej polityki mniejszościowej, choćby. Tutaj widzimy esy floresy, zygarki, podkopujące zaufanie obywatela do swojego państwa. Niebezpieczna ambicja, wmawianie, że jedynie ode mnie zaczyna się nowa era Polski, była często zupełnie oddaloną od istotnych możliwości, wynikających z posiadanego wykształcenia, umiejętności, zdolności, praktyki i doświadczenia. Nauczyciel miast szukać rozwiązania trudnego problemu nauczania — tworzył plany uzdrowienia gospodarki państwowej w dziedzinie produkcji lokomotyw. Inżynier technik, właśnie od lokomotyw, organizował nowy program nauczania powszechnego. Pułkownik miast zajmować się dozbrojeniem mógł robić wszystko: oświatę, higienę, kopalnię węgla, eksport bawełny i import wełny. Wszystko. Mógł być starostą, wojewodą, prezesem Izby Handlowej, dyrektorem magistratu, prezesem hodowli krów holenderskich. Komu zostawało wojsko?

— Tylko bez przesady — ktoś wtrącił.

— Dlaczego bez przesady? Rozglądnijmy się między sobą. Ilu z nas planuje odpowiedni za położone „zasługi” skopek dobrze ułożonego mleka, w postaci takiej czy innej posady, która w rezultacie ma być rentą? Ilu z nas zastanawia się, czy do tej pracy będzie się nadawało? Czy spotkał się dużo ludzi w życiu, którzyby odmówili czemuś z powodu braku umiejętności w proponowanej dziedzinie pracy? Ciągłe jesteśmy ci sami. O co się kłóć nasi emigranci w Londynie, czy o to, jaka będzie Nowa Polska, czy o historyczne cienie przeszłości, mniejsze i większe, które przynajmniej dla nas młodych są niezrozumiałymi walkami osobistymi. Są przeszłością, która uczy może, ale która programem być nie może.

— Głosisz hasło siedzenia wyłączone we własnym siodle. Istnieje przecież indywidualność, które wsadzone w pewne siodło przymusowo, wykształceniem, mogły się w nim czuć źle. Pragną zmian.

— Ale czy mają wszelkie dane na te zmiany?

— Kto ma to osądzać? Vox populi?

— Bodaj, że wyłącznie ten vox populi i jego ocena, wyrażona rzetelną opinią, a nie robiona, kupowana, ładacznicza. Zresztą wdajemy się w rozważania z zakresu zagadnień typu, czy Bóg może stworzyć kamień, którego nie może sam udźwignąć. A mnie chodzi i nam wszystkim powinno o to chodzić, by każdy Polak robił najlepiej, do czego jest powołany, dzięki swoim umiejętnościom, posiadanej wiedzy i zdolności. Niech w tym kierunku posiada jak największe ambicje, ale nie w innym, sobie nieznanym.

— A więc chciałbyś przemienić kraj, w standardyzowanych ludzi, ludzi szarych, płaskich. Czy to nie za mało? Czy właśnie nie kto inny, tylko indywidualności pchały swój naród na nowe tory życia politycznego, społecznego czy kulturalnego?

— Nie rozumiemy się. Co innego jest geniusz w tej czy innej dziedzinie, co innego przeciętny obywatel o przeroście i nadwrażliwości ambicyjnej. Jednym tylko we własnym siodle, umiemy ocenić nasze możliwości istotne, w ich ramach wykonujemy najlepiej swoje zadania. Wielkie indywidualności niesie życie i wyrzuca życie ponad przeciętność, ale przeciętność wynoszona sama przez siebie jest humbugiem, bluffem, jednym słowem lipą. Właściwa ocena swoich możliwości jest dowodem rozsądku, rozumu społecznego, które musi tworzyć podstawowe wiązanie życia narodowego.

JÓZEF NOWAK

Odpowiedzialność Niemców za zbrodnie wojenne

„W chwili zawarcia jakiegokolwiek rozejmu z jakimkolwiek rządem, który powstanie w Niemczech — głosi wspólna deklaracja trzech Mocarstw Sprzymierzonych w Moskwie z dnia 1 listopada r. b. — wszyscy ci niemieccy oficerowie i żołnierze oraz członkowie partii narodowo-socjalistycznej, którzy są odpowiedzialni lub dobrowolnie wzięli udział w... okrucieństwach, masakrach lub egzekucjach, zostaną odesłani z powrotem do krajów, na terenie których popełnili swe ohydne czyny, gdzie będą sądzeni i ukarani zgodnie z prawami miejscowymi...”

Niechaj ci, którzy dotychczas nie splamili swych rąk niewinną krwią, mają się na baczności, by nie wstąpić w szeregi winnych, gdyż trzy Mocarstwa Sprzymierzone prześladować ich będą bezwzględnie aż po kraniec świata i wydadzą ich oskarżycielom, by sprawiedliwości stało się zadość...”

Postanowienie to znów stawia na porządku dziennym sprawę zbiorowej i indywidualnej odpowiedzialności za wojnę, a raczej za jej przebieg i metody działań wojennych. Nie jest to zagadnienie nowe. Od czasów, kiedy Albero Gentili (w. XVI.) próbował ująć wojnę jako proces prawny między dwoma państwami, zagadnienie prawa wojny nie schodzi z porządku dziennego polityki międzynarodowej. Nie chodzi tu o to, czy w ogóle wojna jest uprawniona, czy nie, względnie — jakie wojny są słuszne, a jakie bezprawne. Od św. Augustyna i średniowiecznych kanonistów, którzy biedzili się nad zagadnieniem „causa belli iusta vel iniusta”, aż do paktu Kelloga (1928) próżne były usiłowania ustalenia odpowiedzialności za sam fakt wojny i zapobiegania możliwości jego zaistnienia. Ale fakt sam istniał — fakt wzajemnego biologicznego i materialnego wyniszczania się narodów i państw dla osiągnięcia kolejnych celów politycznych. „Wojna to kontynuacja polityki innymi środkami” — twierdzi Clausewitz, najwybitniejszy bodaj teoretyk wojny. Przyjmując więc wojnę jako fakt dany, jako jedną z metod regulacji stosunków międzynarodowych, teoretycy prawa usiłowali jedynie regulować samą wojnę w imię nie tyle nawet prawa, ile poprostu „humanitatis intuitus” (poczucia ludzkiego) — jak mówi Hugo Grotius.

„Nie to, na co prawa ludzkie pozwalają, lecz... co słuszne jest i pobożne”. To zdanie Grotiusa, ujęte przezeń w formuły prawne wojny i pokoju, rozwija się w postulat etyczny Monteskiusza: „Podeczas wojny narody winny przyczyniać sobie nawzajem możliwie najmniej zła” i realizuje się nie tylko w humanitaryzacji obyczajów wojennych, znamiennych rozwój cywilizacji od czasów amfionów helleńskich, ale i formułach prawa międzynarodowego, w paragrafach konwencji genewskiej (1864, 1906, 1929) i obu konwencji haskich (1899, 1907).

Ale to poczucie moralne oparte jest w gruncie rzeczy na formalnie nie uznawanych i oficjalnie przez kościół odrzuconych starych przesłankach pierwotnego chrześcijaństwa — Bazylego Tertulliana, Origenesa, Lactantiusa — o niedopuszczalności samej wojny, przesłankach, złagodzonych w kompromisowym pojęciu wojny, jako momentu przerywającego naturalny, normalny bieg życia i stosunków równych i równoprawnych zbiorowości ludzkich. Prawo wojny, pojęte jako norma humanitarna, możliwe jest w oparciu tylko o tę ideę. Ale przeciw tej odwiecznej idei powstaje nietscheańskie i spenglerowskie ujęcie człowieka jako bestii zdobycznej. Upojona zwycięstwem w wojnie przeciw Francji 1870/1871, upojona olbrzymim rozwojem powstałej z wojny i na wojnie wzbogaconej Drugiej Rzeszy, publicystyka niemiecka w. XIX (Moltke, Merckel, Lueder) otwarcie rzuciła wyzwanie starym pojęciom, ogłaszając wojnę za bogostawienie, za spiritus movens istotnego postępu ludzkości. Stąd już krok tylko jeden do łączącej te obie przesłanki hitlerowskiej idei wojny jako naturalnego, normalnego stanu człowieka.

Jedyną normą wojny staje się bezosobowy, miazdzący mechanizm celowości metod, tak dobitnie charakteryzujący surowe ius belli wodzów rzymskich i z ich idei wywodzących się przedgrotiusowych teoretyków wojny w. XVI, których tezy przenika amoralistyczna teoria celowości politycznej, uosobiona w „Il Principe” Machiavellego.

W w. XVIII—XIX, kiedy liberalizm przeprowadzał ścisłą granicę między jednostką a zbiorowością, między obywatelem a państwem, mógł głosić Jan Stefan Maria Portalis, jeden z współwórców Kodeksu Napoleona, że „wojna to stosunek państwa do państwa, a nie jednostki do jednostki”, mógł wnioskować Rousseau, że nieprzyjaciółmi są państwa, a nie osoby prywatne. Na tym rozgraniczeniu oparte było poszanowanie życia i majątku ludności nie walczącej. Ale totalitaryzm, rozpuszczający człowieka w państwie, ale wojna totalna, ogarniająca nie tylko front, lecz i całe jego zaplecze, wojna obliczona na zniszczenie nie tylko militarnego, ale gospodarczego i biologicznego potencjału nieprzyjaciela, potencjału nie tylko aktualnego, ale i przyszłego — nie może znieść żadnych ograniczeń. Tutaj właśnie triumfują cyniczne teorie niemieckiej instrukcji, realizowanej już w latach 1914—1918, oburzającej świat swą bezdusznnością i szerokimi granicami samowoli żołądackiej.

Nie dziwnego. Dwa te rozbieżne ujęcia wojny muszą z konieczności odmiennie i rozbieżnie traktować kwestie postępowania jednostek jako podmiotu, siły żywej działań wojennych wobec ich przedmiotu, to jest nieprzyjaciela i jego dóbr materialnych i duchowych. Rzecz prosta, zagadnienie to odpada w zupełności, lub co najmniej traci na znaczeniu z chwilą, w której odpada milczące wzajemnie uznanie stron walczących za równoprawne. z chwilą, w której jedna ze stron uznaje drugą za wartościowo niższą, za bierny substrakt oddziaływań własnych. Postawa ta — to przesłanka i corollarium zarazem owego „prawa do wojny”, owej „wolności wojny” jako zasadniczej postawy człowieka wobec świata. Jedyną normą, jakąśmy powiedzieli, pozostaje tu celowość działań. Rzezie mongolskie np., przez kronikarzy współczesnych piętnowane jako wyraz bezcelowego okrucieństwa, — to system wojny, mający na celu zmniejszenie dysproporcji liczebnej między najeżdżąc a ludami podbitymi oraz ich gospodarcze i społeczne przystosowanie ustrojowe do potrzeb państwa koczowniczego. Nie inny przecież cel przyswiewa i polityce hitlerowskiej w krajach podbitych, polityce, której elementem istotnym jest system depopulacji zarówno liczebnej (niszczenie masowe. powstrzymanie rozrodzności), jak i selektywnej (likwidacja elity kulturalnej i politycznej).

Metody wojny, normowanej jedynie celowością, wymagają specyficznego nastawienia psychicznego, osiąganego zarówno przez specyficzne metody i treść wychowania narodu do wojny, jak i przez emocjonalne ujęcie „prawa do wojny” jako wolności jednostronnej. Opór biernego tworzywa, substratu oddziaływań wojennych, staje się wówczas zbrodnią wobec wyższej idei prawa narodu — zdobywcy do panowania i życia z dorobku poddanych. Nastawienie znowuż wspólne zarówno „jasom” (ukazom) czyngisowym, jak zarządzeniom Moltkego przeciw Wolnym Strzelcom w r. 1870/71, jak proklamacji Hitlera, ogłaszającej wojnę przeciw Polsce za „wyprawę karną”.

Właśnie wspomniane tu ustosunkowanie się do prawnej strony walki podziemnej społeczności najlepiej bodaj charakteryzuje tę przepaść, jaka dzieli mongolsko-niemieckie pojęcie wojny od europejskiego. Jeśli — jakśmy powiedzieli — wobec „prawa do wojny” zbrodnia jest opór nawet państwowo zorganizowany, tym bardziej zbrodnią będzie zbrojny opór społeczny. Natomiast narody, uznające wojnę za przerwanie stanu normalnego, narody, dla których nie „prawo do wojny”, lecz „prawo do pokoju” jest istotnym prawem człowieka — uznają też prawo każdego narodu i każdego człowieka do obrony tego pokoju. Zagadnienie to — wbrew opozycji niemieckiej — w r. 1874 podniósł W. Brytania na konferencji brukselskiej. W r. 1899 na konferencji haskiej delegat brytyjski Sir John Ardagh żąda włączenia do projektowanej konwencji zastrzeżenia, że żaden z jej przepisów nie może być uważany „za dążność do uszczuplenia lub zniesienia prawa, przysługującego ludności kraju napadniętego, do przeciwstawienia mu patriotycznego i jak najenergiczniejszego oporu wszelkimi środkami uprawnionymi”. Choć zastrzeżenie to nie weszło do konwencji, to przecież właśnie pod naciskiem brytyjskim uznała ona w pełni prawo napadniętego do oporu zbrojnego samorządowego, nawet nieorganizowanego. Dla Anglii, którą można uważać za twórczynię tej zasady, nie był to tylko frazes liberalny: w rok później zdaje ona egzamin swego poczucia prawa w wojnie z Boerami. Nie mamy tu potrzeby idealizowania tej wojny — wojny napastniczej i brutalnej, która w dziejach armii angielskiej nie zawsze jasnymi kartami się zapisała. Ale jedno trzeba podkreślić: nawet po zajęciu całej Oranii i Transwaalu, kiedy republiki boerskie i ich rządy faktycznie przestały istnieć, rząd angielski nie zaprzeczył ich ludności prawa do walki i w specjalnej deklaracji stwierdził, że partyzanci boerscy nadal cieszą się prawami strony wujującej.

Idąc po tej linii, musimy też wyciągnąć konsekwencje w stosunku do walczącego przeciwnika z chwilą, gdy znajdzie się poza możliwością walki — gdy ranny, rozbrojony siłą, lub dobrowolnie dostanie się w nasze ręce. „Wojna nie daje człowiekowi żadnych praw w stosunku do poszczególnych osób, — mówi Monteskiusz w „Duchu Praw”, — jak tylko czynienia ich niezdolnymi do czynienia dalszych krzywd, a to przez zabezpieczenie ich osoby”. Z tego też punktu widzenia dekret rewolucyjnego Zgromadzenia Narodowego francuskiego (maj 1792) ogłasza, iż jeniec jest pod opieką narodu. Zasada ta została ostatecznie sformułowana w przepisach szczegółowe w konferencji haskiej z r. 1899 (art. 4—20), uzupełnionej i przystosowanej do warunków obecnych w konwencjach z r. 1929 i 1931.

Odbiegliśmy od zagadnienia winy za działania wojenne. Wywody jednak powyższe unaocniają nam całą rozbieżność pojęć narodów cywilizowanych i pojęć niemieckich. Wina wobec biernego tworzywa jest absurdem. Tam, gdzie jedyną normą działań jest „Kriegsraison”, przewinieniem jest nie łamanie ogólnoludzkiego prawa moralnego, nawet nie postępek niecelowy, lecz działanie obiektywnie sprzeczne z celowością wojenną. Tak np. mon-

golska „jasa” o postępowaniu w zdobytych grodach przewiduje karę śmierci za samowolną grabież. Ale przepis ten bynajmniej nie ma na celu ochrony ludności podbitej — byłoby to wręcz sprzeczne z mongolskim ujęciem wojny — lecz sankcję, ochraniającą organizację eksploatacji tej ludności. Tym samym też odpada pojęcie zbiorowego czy indywidualnego przestępstwa wojennego w sensie europejskim, wszelka możliwość sądu za nie czy kary. I zgodnie z tą logiką mongolską, w obliczu procesów niemieckich przestępców wojennych niemiecki publicysta Bernhard z pogardą pisze o „dziwacznym przedsięwzięciu: mierzeniu wojny i rewolucji normami prawa karnego” (Vossische Zeitung z 17 lipca 1921 r.).

Natomiast np. instrukcje angielsko-francuskich władz okupacyjnych w Nadrenii o poszanowaniu osób i dóbr materialnych i duchowych ludności niemieckiej, wychodzą z założenia, że bezpieczeństwo osób i stanu posiadania jest prawem niewalczącej ludności kraju nieprzyjacielskiego, i akcja, prawo to naruszająca, jest przestępstwem, a sprawca tej akcji — przestępcą w stosunku do jej przedmiotu, to jest wobec ludności kraju nieprzyjacielskiego. Ze założenie to cieszyło się stale milejącym choćby, teoretycznym uznaniem, świadczy tak zwana „klauzula amnestyjna” widniejąca niemal we wszystkich traktatach pokojowych, likwidujących stan wojny między państwami cywilizowanymi do końca wieku XIX. Dopiero Traktat Wersalski zrywa z tą praktyką półznaną. Nie bez przyczyn zresztą. Wiek XIX uświadomił Europie niemieckie pojęcie wojny. Instrukcje Bismarka dla pruskich wojsk okupacyjnych w Danii (1864) i brutalność niemiecka wobec ludności francuskiej w wojnie 1870/71 były jeno zapowiedzią masowych morderstw w Belgii, gwałtów we Francji, ostrzeliwania ambulanсів Czerwonego Krzyża, zabijania sióstr miłosierdzia, okrucieństw wobec jeńców, które cechują metody niemieckie w wojnie 1914—1918. Pierwsze więc od r. 1806 zwycięstwo nad Niemcami musiało z konieczności pociągnąć za sobą reakcję czynną świata cywilizowanego wobec niemieckiego ujęcia wojny, reakcję, streszczającą się w uznaniu zasad wręcz przeciwnych, a mianowicie:

1) wojna jest przestępstwem wobec ludzkości; 2) w wojnie obowiązują normy prawne; ich przekroczenie jest zbrodnią.

Zgodnie z tymi zasadami Traktat Wersalski formułuje zasadę karalności: 1) winowajców wywołania wojny (art. 227); 2) osób wojskowych i cywilnych, które w charakterze członków sił zbrojnych lub funkcjonariuszy władz okupacyjnych niemieckich dopuściły się w stosunku do członków sił zbrojnych lub ludności krajów z Niemcami walczących, lub przez nich okupowanych czynów sprzecznych z uznanymi przez państwa cywilizowane prawami i obyczajami wojny. Jako reprezentatywnego winowajcę wojny Traktat Wersalski wymienia cesarza Wilhelma II; karę wynierzyć ma Trybunał sądowy w składzie przedstawicieli pięciu mocarstw sprzymierzonych. Zasada jednak odpowiedzialności za wywołanie wojny, zarówno jak i cel jej realizacji, były istotnym novum, nie znajdującym formalnych podstaw w prawie międzynarodowym — i to właśnie umożliwiło obronę Wilhelma II republikańskiemu rządowi niemieckiemu i rządowi holenderskiemu dało podstawy prawne do odmowy wydania eks-cesarza Mocarstwom Sprzymierzonym.

W rezultacie do sądu nad Wilhelmem II nie doszło. Ale i akcja wobec przestępców wojennych spaliła na panewce. Artykuł dotyczący Wilhelma II, sformułowany był jako oskarżenie i zarządzenie jednostronne. Natomiast w art. 228—230 Niemcy wyraźnie uznawały nie tylko zasadę winy i odpowiedzialności za łamanie praw i obyczajów wojennych, ale — co więcej — zobowiązywały się do ekstradycji winowajców na żądanie Mocarstw Sprzymierzonych. Państwa Sprzymierzone przedstawiły Niemcom wykazy ekstradycyjne, ogółem 900 nazwisk. I teraz dopiero zaczęła się gra. Trzeba pamiętać, że było to w latach 1919-20, w latach „nowych dobrych Niemiec”. I rząd niemiecki — rząd tych dobrych Niemiec — bynajmniej nie zaprzeczył, że generałowie i oficerowie i szeregowi i urzędnicy tamtych „starych Niemiec” dopuszczali się zbrodni wojennych. Zbyt zresztą świeże były podpisy pod ośnośnymi artykułami Traktatu Wersalskiego. „Dobre Niemcy” żądają tylko, by winowajców oddano na żer surowej republikańskiej sprawiedliwości Trybunału Rzeszy w Lipsku. Z początku „dobre Niemcy” otrzymały suchą, niedowzuszczającą i — zdawałoby się — ostateczną odprawę, którą nie pozostawiała żadnej wątpliwości co do moralnej oceny tych neo-republikanów. Sprzymierzeni nie zamierzają pozostawić zbrodniarzy wojennych sądowni „wspólników ich przestępstw” (16 czerwca 1919 r.).

Niestety, Sprzymierzeni nie utrzymali się na tym słusznym stanowisku. Propaganda niemiecka dokonała pierwszego wyłomu w Traktacie Wersalskim: notą z dn. 15 lutego 1920 r. Sprzymierzeni zgodzili się przekazać sprawy winowajców wojennych Trybunałowi Rzeszy w Lipsku, zastrzegając sobie jedynie prawo obserwacji i wolną rękę w razie nie ukarania zbrodniarzy, co więcej, Niemcy uzyskali wyłączenie ze spisu oskarżonych wszyst-

kich osób, które nie zawiniły aktami bezpośrednimi, lecz przez rozkazodawstwo ogólne, lub kierunek swej polityki. Lista oskarżonych skurczyła się do 43 nazwisk.

Teraz jednak zaczął się drugi akt komedii. By bezboleśnie zlikwidować całą sprawę, trzeba było uprzednio dać światu widowisko sprawiedliwości niemieckiej. Na kozła ofiarnego wybrano skromnego bednarza, feldfebla Heinen, który jako dozorca obozu jeńców odznaczył się brutalnością i wyrafinowanym okrucieństwem. Sędziowie lipscy z teatralnym gestem oburzenia potępiłi tego godnego przedstawiciela prusactwa, konkludując, iż: „jego postępowanie zawierało w sobie niebezpieczeństwo dla reputacji narodu niemieckiego, który uznając się za kulturalny naród pierwszej klasy, wyrzeka się takiej brutalności i okrucieństwa”. Po tym słowach surowych należało oczekiwać nieco innego wyroku, niż 10 miesięcy więzienia.

Ale nie o karę chodziło. Dla użytku wewnętrznego Trybunał Lipski zademonstrował pełną solidarność „nowych Niemiec” ze starą soldateską, pruską. Dla zagranicy natomiast zadokumentował szlachetność „narodu pierwszej klasy” wobec narodów niższej. Teraz można było pojsć dalej. Dzielnym gen. Stenger wydał na froncie rozkaz „by nie było jeńców”. Ale o zabijaniu jeńców mowy tam nie było. A że oficerowie podległej generałowi brygady rozkaz dobrze zrozumieli i skrupulatnie wykonali — to już doprawy nie jego wina. I sprawiedliwość rozbrzmiała dytyrambem na cześć generała Stengera. Tego było za dużo nawet dla miążącego pokój i ustępliwego rządu Brianda: notą z dn. 9 lipca 1921 r. oznajmił on, że odwołuje obserwatorów i świadków francuskich i wezwał Sprzymierzonych do protestu przeciw rozgrywanym w Lipsku „kpinom ze sprawiedliwości”. Niestety, Rząd Brytyjski nie zareagował odpowiednio, i Niemcy, czując swą bezkarność, licząc na bierność Anglików, idą na całego. Ale trzeba było procesu, który by ustalił zasadę, umożliwiającą likwidację tej „komedii sądowej”, jak to otwarcie mówiła w 1921 r. „Koelnische Zeitung”. Sposobność dostarczyła seria spraw o metody wojny podwodnej. Kpt. Karol Neumann storpedował angielski okręt szpitalny Dover Castle. Fakt był niezbit, ale że kpt. Neumann jako posłuszny żołnierz wykonał jeno rozkaz admiralacji niemieckiej, więc skazany być nie mógł, albowiem — jak stwierdzili sędziowie niemieccy — „wszystkie narody cywilizowane uznają za zasadę iż podwładnego uwalniają od odpowiedzialności rozkazy jego zwierzchności”.

Metody wojny hitlerowskiej, zwłaszcza najwcześniejsze, najliczniejsze i najsrozsze okrucieństwa, wyczyniane na terenie Polski, musiały wywołać reakcję zarówno w postaci wołania o represje natychmiastowe, jak i w postaci woli wymierzenia za nie kary, któraby — zgodnie z deklaracją Churchilla w Izbie Gmin z 8 września 1942 r. — była „trwałym ostrzeżeniem dla ludzkości po wieczne czasy”. Już 25 października 1941 roku w jednoczesnych i zgodnych deklaracjach Prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla padło ciężkie słowo odpłaty i kary: „retribution”. Z kolei przyszło wspólne oświadczenie z dn. 13 stycznia 1942 roku rządów 9 państw okupowanych, obradujących w pałacu St. James. Gdy w połowie roku 1942 nadeszły z Polski wiadomości o nowej fali straszliwych okrucieństw niemieckich, min. Eden w Izbie Gmin dn. 17 czerwca określił ukaranie winowajców wojennych jako jeden z głównych celów wojny. Tak więc opinia Sprzymierzonych co do konieczności należytego wymiaru kary za wszystkie zbrodnie niemieckie była zgodna. Rząd Polski, jako najbardziej w tej sprawie zainteresowany, dnia 15 lipca 1942 r. ustalił zasady postępowania karnego w stosunku do winowajców wojennych i poddał je dyskusji międzynarodowej celem ujednolicenia całej akcji. Zasady te znalazły pełne uznanie w deklaracji Prezydenta Roosevelta z dnia 31 sierpnia 1942 r., do której w imieniu Rządu Brytyjskiego przyłączył się w wyżej cytowanym przemówieniu premier Churchill. Wreszcie 7 października tegoż roku jednocześnie i zgodnie Prezydent Roosevelt w Białym Domu i Lord Simon w Izbie Lordów zapowiedzieli ustanowienie osobnej komisji Zjednoczonych Narodów dla ustalenia win sprawców i ich odpowiedzialności, przy czym żądanie wydania i osądzenia winowajców nastąpiłoby odradu po zaprzestaniu działań wojennych, a nie dopiero po traktacie pokojowym — jak to być miało według Traktatu Wersalskiego. Wreszcie dn. 20 października 1942 r. Rząd Polski ogłosił projekt ustawy, w myśl której: „Wszystkie czyny występne, sprzeczne z prawem międzynarodowym, godzące w instytucje Państwa Polskiego oraz firmy i osoby prywatne, karane będą... więzieniem lub śmiercią, jeśli pociągnięty za sobą śmierć osób fizycznych, wyjątkowo cierpienia, deportację lub przesiedlenie ludności, pozbawienie wolności jednostek, niebezpieczeństwo dla życia ludzkiego, wreszcie przymusową służbę wojskową i zniszczenie lub uszkodzenie mienia o wartości ogólnopństwowej”.

Dziś zasady te, sformułowane przez Rząd Polski, wchodząc zaczynają w życie wraz z powołaniem Komisji Zjednoczonych Narodów dla zbadania przestępstw wojennych.

J. O.—SKI

W POSZUKIWANIU WYMOWNEGO POMNIKA

Los pamiątek po Józefie Sułkowskim

Pamięć o rzeczach i ludziach trwa tylko dzięki nieustannemu wysiłkowi potomnych. Niekiedy wysiłek ten krystalizuje się w postaci materialnego zabytku, który zresztą również potrzebuje konserwacji. A im mniej pozostało z powłoki doczesnej bohatera, o którym pamięć nie powinna zagać, tym wysiłki, niezbędne dla jego upamiętnienia, muszą być intensywniejsze, bardziej nieustające i niezmordowane. Świadcza o tym wszystkie zabiegi, podjęte dla ufundowania i zachowania trwałych pamiątek po Józefie Sułkowskim, którego sylwetkę usiłowaliśmy niedawno wskrzesić na tym miejscu¹⁾.

łów, zebranych i ogłoszonych przez J. Benisa w jego dziele o misji wojskowej Dembińskiego w Egipcie²⁾.

W liście z 4 marca 1834 r., Dembiński uzasadnia Lessepsovi swój zamiar:

„Przybywszy do Egiptu, dokąd skierowały mnie te same motywy, które sprowadziły tam Sułkowskiego, pragnę zostawić w nim w chwili opuszczania go pamiątkę, która będąc

stron cokołu wykuto w języku polskim, francuskim i arabskim napis, następującej treści:

S U Ł K O W S K I E M U
Adjutantowi Napoleona Bonapartego
Poległemu 23 Października 1798 r.
Wystawił
HENRYK DEMBIŃSKI Generał
1834 Roku.



„Fort Sułkowskiego“ w Kairze

1. Pomnik człowieka bez grobu

Wiadomo, że Sułkowski nie pozostawił po sobie grobu, gdyż nie zachowało się nic z jego doczesnej powłoki cielesnej. Różniące się nieco z szczegóły rozliczne wersje o okolicznościach jego śmierci są pod tym względem ze sobą zupełnie zgodne. Został rozszarpany, czy też rozniesiony przez wzburzony tłum kairski. W towarzystwie nielicznego oddziału ordynansów wracał z szczęśliwie zakończonego rekonosansu, uwieńczonego wycofaniem się oddziału Mameluków, którzy chcieli wdrzeć się od północy do miasta, aby zasilić zbuntowane od 24 godzin tłumy. Był to ranek dnia 22 października 1798 r. Nie zwracając uwagi na grożące mu niebezpieczeństwo ze strony roznamietnionego ludu kairskiego, wjechał w ciżbę. Było to gdzieś w pobliżu meczetu Daahar, na drodze wiodącej do Bad-el-Nasr, Bramy Zwycięstwa. Na placu dokoła meczetu pozostały ślady niedawnej potyczki. W pewnej chwili koń pułkownika potknął się, być może o leżące na ziemi trupa, przysiadł i runął na ziemię przywalając sobą jeźdźca. Sułkowski, oslabiony od niewygojonych ran, otrzymanych pod Salehieh, nie zdołał zerwać się na nogi. Tłum, widząc powalane, rzucił się z wściekłością na oficera strzelców francuskich i rozniósł go na miejscu. Gdy ktoś z eskorty zdołał się do niego przebić przez gęszcz ludzki, było już za późno.

Czy istotnie, jak chce jeden z kronikarzy, goniący za silnym efektem, porwano ciało i rzucono je potem psom na pożarcie, w to można raczej wątpić. Nie ma bowiem świadectwa wiarygodnych ludzi. Scena końcowa dramatu Żeromskiego, w której służa Sułkowskiego wpada przed kwatere główną, a wnosząc przed oczy Bonapartego i całego jego sztabu strzyp munduru z krzyżem „Virtuti Militari“ — ma w sobie więcej symbolicznego wyrazu, niż kronikarskiej ściśłości. Faktem jest natomiast, że po Sułkowskim nie pozostał żaden grób, choć do dziś dnia krąży po Kairze legenda o jego istnieniu, — legenda, oparta na dowolnych domysłach lub na... zwykłym nieporozumieniu.

2. Inicjatywa gen. Dembińskiego

Źródłem tego nieporozumienia jest fakt, że przez krótki czas rzeczywiście istniał w Kairze pomnik nagrobkowy, poświęcony Sułkowskemu. Był to t. zw. cenotaf, czyli nagrobek, stojący nie na miejscu, gdzie mógł być pochowany zmarły. Ufundował go w trzydziści kilka lat po śmierci bohatera polskiego gen. Henryk Dembiński, którego wysłał wtedy ze specjalną misją wojskowo-polityczną do Egiptu ks. Adam Czartoryski. Gdy Dembiński miał wrócić do Francji po ostatecznym nieudaniu się misji, pozostała mu para białych koni, ofiarowanych przez ks. Ibrahima Paszę, syna wicekróla Mahomeda Alego, ówczesnego władcy Egiptu i założyciela obecnej dynastii. Nie mógł ich zabrać ze sobą w podróż morską, a wiedział, że zwracając je Ibrahimowi, uraziłby ofiarodawcę. Postanowił więc je sprzedać i przeznaczyć otrzymane pieniądze na jakiś szlachetny cel.

Wybór padł na pomnik Sułkowskiego. W ostatniej chwili przed odjazdem realizację tego dzieła pozostawił młodemu konsułowi francuskiemu, Ferdynandowi de Lesseps, późniejszemu inicjatorowi i realizatorowi Kanału Sueskiego. Dzieje tego przedsięwzięcia szczegółowo dają się odtworzyć na podstawie materia-

łom, złożonym pamięci rodaka, służyłaby równocześnie za dowód, jak każdy Polak umie ocenić — nawet odległe — wysiłki każdego innego członka wielkiej rodziny polskiej³⁾.

Wraz z tym uzasadnieniem, przeznaczonym dla obcych, przekazał gen. Dembiński 2.000 piastrow na pokrycie kosztów budowy pomnika. Tysiąc gotówek, uzyskaną ze sprzedaży wspomnianych koni, drugi tysiąc kwitami dźpniaków swoich na Środkowym Wschodzie. W swej przeczności, na wypadek gdyby należności z tego tytułu nie wpłynęły na czas, zostawił równocześnie weksel na 1100 piastrow do zrealizowania w jednym z banków w Aleksandrii, mającym stosunki z Triestem lub Paryżem, gdzie mógł dysponować swymi funduszami. Skrupulatność ta, podyktowana była przede wszystkim chęcią, by być jedynym fundatorem pomnika.

3. Trudności realizacji

Po zgórą rocznych przygotowaniach zdążano dopiero pokonać wszelkie trudności i dokonać odkrycia pomnika nagrobkowego. Uzyskano zezwolenie władz egipskich (Wielkiej Rady) na skorzystanie z wybranego miejsca, w pobliżu którego Sułkowski poniosł śmierć. Zgodnie z wskazówkami fundatora wykuto pomnik i ustawiono go na miejscu, choć zaprojektował go nie znany rzeźbiarz Alric, lecz saintimonista J. Filip Muchereau. Lamy, twórca planu sytuacyjnego, zmarł na dżumę przed wzniesieniem nagrobka. Wreszcie nadziedziczył go rodaka — orientalista Ludwika Sobotowskiego, tekst zamówionego napisu w języku arabskim. Opiacono też greckiego kamieniarza, który wykłuł całość, choć od dłużników nie nie wpłynęło gotówki, mimo iż dawno minął termin płatności ich weksli. Nic z tego, co związane było z Sułkowskim, nie szło łatwo, nie tylko za życia, ale i po jego śmierci.

4. Reduta Sułkowskiego

Latem 1835 r. — dokładna data odsłonięcia się nie zachowała — oglądać można było pomnik wzniesiony w pobliżu warownego meczetu Daahar-Birbais (z XIII w.), stojącego samotnie na północ od dawnych murów obronnych miasta. Meczec służył do końca XVIII w. chwale sułtańskiego władcy Birbaisa. Jeszcze w tym samym roku, w którym zginął Sułkowski, przerobiony został na rozkaz Bonapartego na bardziej nowoczesny fort francuski i nazwany imieniem bohatera polskiego, który legł gdzieś w pobliżu jego murów.

Jeszcze na planie Kairu z 1845 r., dołączonym do pracy J. Marcela o Egipcie, meczet ten nosi miano „Fort Sułkowskiego“ i stoi poza starymi murami miasta. Był to więc niejako pierwszy pomnik, poświęcony pamięci Sułkowskiego, — pomnik, który przetrwał i stanowił przez to trwały punkt orientacyjny dla określenia stanowiska, gdzie postawiono zaginiony nagrobek, ufundowany przez Dembińskiego.

5. Wygląd i położenie cenotafu

Z zachowanej korespondencji z Lessepsem wynika, że cenotaf na cześć Sułkowskiego wzniesiono u zbiegu trzech ulic, wychodzących na zachodni mur warownego meczetu. Miejsce to było wówczas jeszcze dość opustoszałe. Cenotaf miał kształt przetrąconej kolumny z białego marmuru, ustawionej na czworograniastym cokole z ciosanego kamienia. Z trzech

Oczywistym jest, że napis ten zawierał dwie nieścisłości. Data śmierci jest o jeden dzień późniejsza, data wzniesienia pomnika — o jeden rok przedwczesna.

Los nie chciał, aby ta pamiątka długo przetrwała. Już bowiem z początkiem października 1835 r. z Kairu komunikowano gen. Dembińskiemu, że pomnik został zniszczony, czy tylko uszkodzony przez „Arabów“, lecz potem naprawiony.

6. Ginią nagrobki

Według ustnej wersji Henryka Munier, sekretarza generalnego Królewskiego Egipskiego Towarzystwa Geograficznego, opartej zapewne na domniemaniach Benisa, pomnik został potem ponownie uszkodzony i wreszcie na polecenie konsula Lessepse usunięty. Wersja ta nie ma dokumentarnej poparcia w zbiorze materiałów, zebranych przez Benisa. Nie mniej faktem jest, że od tego czasu wszelki ślad po nagrobku zaginął.

Między Dembińskiem i Lessepsem było umówione, że gdyby władze egipskie nie pozwoliły na wzniesienie pomnika w pobliżu domniemanego miejsca śmierci Sułkowskiego, nagrobek postawiony zostanie na cmentarzu chrześcijańskim w Starym Kairze. Tam — można przypuszczać — Lessepse kazał przenieść pomnik. Gdyby jednak tak rzeczywiście się stało, nie uratowałoby to w niczym tej pamiątki od zupełnej zagłady. Cmentarz ten uległ bowiem przy różnych okazjach całkowitej dewastacji. Odgródzony zabudowaniami mieszkalnymi od reszty świata, ziele otworami rozbitych grobowców, a z rozwalonych mogił wizerają białe kości szkieletów. Tak przedstawia jego wygląd ci, którym udało się dotrzeć do niego.

7. Domniemany los pomnika

Cmentarz ten spotkał los, który jest udziałem wielu innych miejsc wiecznego spoczynku w tym kraju. Tak się stało z nekropolią staroegipskimi i to samo spotkało również dostępny wszystkim mieszkańcom Kairu duży cmentarz koptyjski pod Abassya. Jest to bodaj najbliższy cmentarz Daaharu, ale powstał po wzniesieniu cenotafu Sułkowskiego. Z okazałych grobowców powyrzynano wszelkie okna, drzwi czy kraty z futrynami. Wywieziono każdy cenniejszy kawałek metalu, drzewa lub kamienia..., aby go użyć najprawdopodobniej do budowy nowego nagrobka.

Wspomnieć można, że jeszcze nie tak dawno, bo przed niespełna 20 laty w podobny sposób ginąły ważące dobrych kilka centnarów kamieni nagrobkowy z mogiły znakomitego entomologa polskiego, dr Bronisława Dębskiego, pochowanego na t. zw. międzynarodowym cmentarzu w Heluanie.

8. Co dziś zostało?

A jak wygląda dziś miejsce, gdzie w Kairze nastąpiło tak nierozważalne związanie się losu Sułkowskiego z Egiptem? Do meczetu Daahar najlepiej dojechać wielką, ruchliwą, nowoczesną arterią, po której biegnie linia tramwajowa nr 3, idąca od placu Maliki Faridy w kierunku Abassyi. Zboczywszy gdzieś za 5-tym przystankiem w lewo, na zachód, przez mały plac, na którym wybudowano publiczny schron przeciwlotniczy, wchodzi się na wielki plac. Środek jego zajmuje oddzielony suchą fosą, czworokątem stojący mur obronny dawnego meczetu warownego. To niemal niezniszczona przez czas reduta Sułkowskiego.

Najskromniej przedstawia się ściana północna, w której oprócz otworów strzelniczych widać wybite drzwi do właściwej świątyni muzeum kairskiej, znajdującej się w stanie rekonstrukcji.

Pośrodku trzech pozostałych ścian stoją pięknie sklepione bramy. W bezpośrednim ich sąsiedztwie nie brak śladów dawnych ozdób w postaci maurytańskich, azurowych koronek, wykutych w kamieniu, geometrycznych rozet, zębatach obramowań na szczycie muru. Wewnątrz zaś, oprócz kolumnady, podtrzymującej strop właściwej świątyni muzeum kairskiej, znajdującej się w rogu północno-wschodnim, mieści się dla zwiedzającego zupełnie niespodzianka. Ogród z przyciętymi cylindrycznie koronami drzew, zaciszne iaweczki, drożki, wyspane żwirem, cięte szpalery. Skrawek Wersalu, zagubiony na Wschodzie i przeznaczony wyłącznie dla kobiet z dziećmi i wyrostków.

Przed środkiem zachodniego muru widnieje okrągły plac, ocieniony kilku drzewami. Za nim stoi portyk, wiodący do ogrodu przed siedzibą arcybiskupa zakonu Góry Synaj, u której stóp znajduje się słynny klasztor św. Katarzyny⁴⁾. Na tym placu zbiegają się trzy ulice: Szaria Sakakini Pasza, Szaria Gamrah i Szaria Torsina. Wszystko wskazuje na to, że tu wybrał Dembiński z Lessepsem miejsce pod pomnik Sułkowskiego „w pobliżu miejsca, gdzie zginął“. Plac ten jest nadal wolny.

Nasuwa się pytanie: „Czyżby więc należało podjąć znów myśl wzniesienia w tym miejscu nowego pomnika Sułkowskemu?“ Racznie nie. Ale uczcić to miejsce można jeszcze w inny sposób. Tu stanął mógłby pomnik, poświęcony pamięci Polaków, poległych w obronie Egiptu, pod Tobrukim, Gazalą, czy Bardią, — gdyby kiedykolwiek wysunięta została taka inicjatywa. Nie obrażając w niczym najbardziej drażliwych uczuć współczesnych Egipcjan, pomnik taki w tym miejscu miałby dla nas, Polaków, podwójne znaczenie i podwójną wymowę. I wiązałby stare z nowymi laty.

9. Daremne poszukiwania

O odnalezieniu dawnego pomnika nagrobkowego — jak się zdaje — nie może już być mowy. Nijeden dziejopis wyprawy egipskiej Bonapartego czynił już poszukiwania śladów po pomniku Sułkowskiego. Najbardziej nieustrudzonym z nich był chyba współczesny nam Gabriel Guemard, który w licznych swych raportach często wspomina o cenotafie Sułkowskiego. Wszędzie jednak zauważa, że nagrobek ten znikł zupełnie. Poszukiwania musiały być niewątpliwie prowadzone w dwóch kierunkach: kamień i marmur, z którego sporządzono pomnik, mógł pójść na budowę innego nagrobka; ślad po cenotafie mógł zachować się w księgach grobów któregośkolwiek ze starszych cmentarzy kairskich. Choć zdarzają się na odwrócie płyty grobowych lub na nagrobkach napisy, świadczące, że dany kamień, leżący dziś na cmentarzu muzeum kairskim, niegdyś nakrywał mogiłę chrześcijanina, i odwrotnie, — to jednak dotychczas żaden z poszukiwaczy na ulamek cenotafu Sułkowskiego nie trafił. A są całe zbiory tego rodzaju napisów, pozostawionych na różnych zabytkach miejscowych przez żołnierzy napoleońskich z czasów wyprawy egipskiej. Teraz nawet podjęto pracę zinventaryzowania i ogłoszenia drukiem zbioru napisów z tej odległej już epoki, wyrzniętych na szczycie piramidy Cheopsa. Bo i tam docierały wycieczki żołnierzy francuskich, którzy w tak pracowity sposób starali się sami utrwalić pamięć o ich sławnym pobycie na odległej ziemi faraonów. Dotychczasowe poszukiwania w księgach zmarłych i grobów różnych chrześcijańskich cmentarzy, czynione przez zasiedziały w Kairze Polaków, również nie dały żadnego pozytywnego wyniku.

10. Szlachetna intencja

Mówiąc o inicjatywie gen. Dembińskiego, wspomnieliśmy o uzasadnieniu, jakie podawał na zewnątrz, dla obcych. A jakie były jego argumenty dla rodaków? Podał je w sprawozdaniu ze swej podróży do Egiptu, jakie złożył ks. Adamowi Czartoryskiemu:

„Gdy straciłem wszelką nadzieję przyszluszenia się ojczyźnie przez zaszczerpienie w tym kraju bez zmyślenia gałązki z drzewa narodowe, sądziłem, że trzeba przede wszystkim uratować nieskalany honor narodu i poświęcić mu swój własny byt. Takie same uczucia ożywiały też młodego Sułkowskiego, co uprzytomniałem sobie na myśl o jego pomniku.

Nie perorując, nie pisząc artykułów, ani nie szkalując bliźnich, szukał on sławy i środków, aby stać się pożytecznym dla ojczyzny, — da-

¹⁾ Dzięki wielkiej uprzejmości arcybiskupa mógł z dachu portyku dokonać kilku zdjęć otoczenia zaagitowanego na rzecz poszukiwania pamiątek po Sułkowskim kpt. armii brytyjskiej, Bob B., który dublował i uzupełniał materiał ilustracyjny, zbierany przy ofiarnej współpracy inż. Seweryna Steinwurtzla.

²⁾ Patrz „W Drodze“ nr. 12.

³⁾ A.G. Benis, Une Mission Militaire Polonaise en Egypte, Kairo 1938.

wał się przy tym powodować idei, która winna zawsze żyć w każdym z nas, a to, że niechęć do niekonalności, jeśli pozostało jeszcze cośkolwiek do zrobienia.

Pokryty świeżymi ranami, rzucił się przeciwko nowym niebezpieczeństwom i znalazł tam bohaterską śmierć. Ofiarą, jaką złożył ze swej osoby, choć był już i tak okryty sławą, dała nam w oczach wielkiego męża, przy którego boku walczył, wysokie mniemanie o szlachetności charakteru naszego narodu. Trudno ocenić, jak wielki wpływ miało to później na nasz los. Co do mnie, jestem przekonany, że gdyby Polacy, którzy znaleźli się potem w otoczeniu cesarza Napoleona, tacy jak Krasinski i Roźniecki, też wyrzekli się osobistych ambicji, jak to uczynił adiutant gen. Bonapartego, to ten ostatni nie popełniłby później wobec naszej ojczyzny tych błędów, które historia mu słusznie wypomina.

Idźmy za szlachetnym przykładem młodego człowieka i niech każdy z nas poświęci własną osobę, majątek i miłość własną dla dobra ojczyzny, a ofiara ta, wczesniejsza lub późniejsza, wyda owoce. Strzeżmy się natomiast kroczyci śladami wspomnianych Polaków, którzy, starając się robić karierę nie dzięki własnym zasługom, lecz intrygami przeciwko bliźnim, mogą tylko szkodzić naszej sprawie. Jedynie unikając ich przykładu, będziemy mogli ze spokojem czekać na sąd, jaki wyda o nas przyszłość. Najlepszym dowodem tego jest porównanie tych Polaków z młodym Sułkowskim.

11. Opozycja rodaków

Argumenty te nie wszystkim jednak trafiły do przekonania. Ani te, przeznaczone na zewnątrz, ani te na wewnątrz. Przeciw Polakowi, najlepiej zresztą usposobionemu do dzie-

jowej wielkości Egiptu, mogli się źle usposobić bardziej fanatyczni mieszkańcy stolicy, widząc w Sułkowskim tylko jednego z wyższych oficerów armii francuskiej. Jakkolwiek nie była ona tam nigdy powszechnie znienawidzona, nie mniej była to armia najeźdźcza.

Ale co dziwniejsze, że i przeciw wzniesieniu skromnego pomnika, owianego tak szlachetnymi intencjami, wysunęli również zastrzeżenia niektórzy z współczesnych fundatorów rodaków. Oto krytyka projektu wzniesienia pomnika, jaką kpt. Ludwik Orlicki zawarł w swym wspomnieniu, zatytułowanym: „Polacy w Egipcie w r. 1833 i 1834”.

„Skarżono się gorzko (na los Polaków, przybyłych do Egiptu i cierpiących niedostatek — przyp. autora artykułu) i skargi te winny były dojść do wiadomości generała (Dembnińskiego), który chcąc znów dać dowód bezstronności, przeznaczył pieniądze, pochodzące ze sprzedaży koni, na wzniesienie pomnika Sułkowskiemu. Ale gdzie postawić ten pomnik? Może gdzieś pod Kairem, którego mieszkańcy pamiętają jeszcze krwawą masakrę, urządzonej przez Francuzów, i że zgrozą patrząc będą na upamiętnienie po wieczne czasy czynów, które przeklinali. Pierwszy przechodzący obok Arab przewrócił go nogą, a wiatr pustylny porzucił go po kilku godzinach w piachu, bo za kilkaset franków nie można wzniesić piramidy. Więc stawiać pomnik dla Sułkowskiego tam, gdzie wznoszono meczet na cześć Solimana, zabójcy Klebera, — tam, gdzie nawet Francuzi nie ośmielili się uczcić jakimkolwiek pomnikiem pamięci zabitego? Wznosić pomnik dla Sułkowskiego, wroga kraju, za pieniądze, pochodzące z daru Mahomeda? Czyż można okazać więcej pogardy dla ofiarodawcy? Czyż generał nie uczyniłby lepiej, używając tych okrucieństw z orgii, aby przyjąć z pomocą oszukany rodakom, którzy znaleźli się w potrze-

bie? Czyż takie powinno być postępowanie czarnoskórego naczelnego wodza armii polskiej, który chciał się ogłosić dyktatorem?... Zaiste Arabowie będą mieli piękne wyobrażenie o Polsce”.

12. Dosadne sprostowanie

Te dość nieoczekiwane zastrzeżenia, ze względu na zawarte w nich nieścisłości, wymagają pewnego sprostowania, nie mniej są one bardzo sugestywne wyrażone. Więc tenor ich dałoby się ująć w zdaniu: nie czas wspominać zmarłego bohatera, gdy żywi rodacy giną. Pocóż wznosić nagrobek, który, jak można z góry przewidywać, skazany jest na zagładę. I — co najgorsze — przyszły tok wypadków potwierdził te pesymistyczne przewidywania.

Dla zredagowania nie mniej dosadnego sprostowania, kontrargumentów by nie zabrakło. Cóż bowiem mogłoby pomóc Polakom w potrzebie kilkaset franków, skoro ich było około 400 i to przybyłych wbrew wyraźnym ostrzeżeniom, jeśli nie zakazom, na własne ryzyko i odpowiedzialność. Wyprzedzili oni tym tok rokowań i posłużyli za pretekst do ich zerwania.

Zresztą tylko złośliwością podyktowane mogło być niezbyt pochlebne porównanie Sułkowskiego z Solimanem, żołnierza z zabójcą, czy też aluzje do orgii, lub rzekomego oszukiwania rodaków. A wspomnianie Dembińskiego jego krótkotrwałego naczelnego dowództwa lub zamiaru ogłoszenia się dyktatorem nie jest wyrazem przychylnego do stosunku przy rozpatrywaniu sprawy, nie mającej z tamtymi okolicznościami nic wspólnego.

13. Sarkofag francuski

Jedynie bodaj argument o niechęci ludności arabskiej nie był bezzasadny. Francuzi liczyli się z nim i nie wzniesli pomnika swym

bohaterom, poległym w Egipcie, na żadnym — o ile mi wiadomo — z miejsc publicznych. Nie znaczy to jednak, aby go wcale nie wzniesli. Wręcz przeciwnie. Do dziś dnia oglądać można na cmentarzu francuskim grobowiec zbiorowo poświęcony poległym podczas wyprawy egipskiej żołnierzom-oficerom i uczonym. Obecnie stoi on na tle postawionego w z górą sto lat później pomnika ku czci poległych w Egipcie żołnierzy francuskich w wielkiej wojnie 1914—1918 r.

Otóż tamten grobowiec sprzed wieku jest jednocześnie trzecim w Kairze, w swym pierwotnym kształcie zachowanym, zabytkiem, który poświęcony jest także pamięci Józefa Sułkowskiego. Grobowiec ten ma kształt sarkofagu. Po obu jego stronach umieszczono prawie że poziomo, tuż przy ziemi, dwie płyty z białego marmuru, na których wyrzyto nazwiska co najwybitniejszych członków wyprawy egipskiej Bonapartego, poległych na ziemi faraonów. Wśród wyższych oficerów i uczonych widnieją na tablicy, leżącej z prawej strony od widza, nazwisko „Sulkowsky”. Kultuwując dotychczas jego pamięć, przyswajają sobie chwałę wielkiego Polaka, co nam i im tylko przynosi zaszczyt. Kultuwują jego pamięć, choć dobrze wiedzieli i wiedzą, że zawsze uważał się za Polaka i wszędzie w wykazach personalnych sztabu Bonapartego figurował, jak „gen. Zayonchek”, jako „Polonais” (Polak).

Meczet Daaher, jako dawna reduta im. Sułkowskiego w Kairze; stojący obok plac, domniemane miejsce, na którym wzniesiono przed laty pomnik nagrobkowy Sułkowskiemu, i tablica przy sarkofagu na cmentarzu francuskim w Starym Kairze — oto trzy miejsca pamiątkowe po polskim bohaterze w stolicy Egiptu. To są również trzy miejsca, na których zwiedzenie wybrać się może Polak, szukający na obczyźnie polskich pamiątek.

DOROTA FAŁSKA

CYWILNA ARMIA BRYTYJSKA

Home Guard, czyli Straż Krajowa, jest armią jedyną w swoim rodzaju. Składa się ona z cywilów, którzy służbę wojskową pełnią na marginesie swojej pracy zawodowej. Jest to zarazem armia ogromna, bo dwumilionowa. Śmiało można powiedzieć, że stanowi ona bardzo poważny element sił zbrojnych Wielkiej Brytanii.

Powstanie tej armii to rozdział bardzo osobliwy w dziejach angielskiego wysiłku wojennego. Dzieło się to w maju 1940 r. Niemieckie kolumny pancerne pędziły z zawrotną szybkością ku portom francuskim nad Kanałem La Manche. Niecałe 40 km. dzieliło zwycięskie wojska niemieckie od portów brytyjskich na przeciwnym brzegu. Brytyjski Korpus Ekspedycyjny w rozpaczliwym wysiłku starał się wydobyć z pułapki ognia na plażach Dunkierki. Naprzecde zmobilizowane flotylle małych statków pasażerskich i łodzi, gnębione ogniem nieprzyjacielskim z powietrza, przewoziły szczerbiącymi od dymu, poparzonych i rannych żołnierzy brytyjskich przez wody Kanału. Żołnierze ci wracali do swego kraju bez broni w ręku. Sprzęt wojskowy pozostał na pobojowiskach Flandrii i Francji. Anglia, rozbrojona i nie przygotowana do wojny, słuchała w skupionej powadze słów Churchilla o walce samotnej, którą „toż być będzie trzeba na plażach, pagórkach i ulicach miast brytyjskich”. Churchill zapowiedział, że walkę toczyć będzie z Kanadą, gdyby Niemcom udało się opanować Wyspy Brytyjskie. Sytuacja wyglądała niemal beznadziejnie. Nagłówni pism brytyjskich donosiły o tysiącach spadochroniarzy niemieckich, zrzuconych na Rotterdam i inne miasta, dezerterujących ośrodkach przemysłowych i administracyjnych krajów, które uległy inwazji. Wydawało się wówczas, że lada chwila nieprzyjacieli tajemniczy, używający niezbadanych metod i środków walki, runie na miasta Anglii z błękitnego nieba owego lata 1940. W tym właśnie momencie padło hasło tworzenia ochotniczych oddziałów obrony lokalnej (Local Defence Volunteers) do walki ze spodziewanym najeźdźcą.

Zadanie, przed którym stanęła Anglia w r. 1940, było pod każdym względem niezwykle. Wystarczyło porównać czysto liczebny stosunek sił, by zdać sobie sprawę z ogromu tego zadania. Niemcy i Włochy posiadały łącznie przeszło 120 milionów ludności. U stóp ich leżała podbita, sparaliżowana i upokorzona Europa. „Mała i nędzna wyspa” — jak mawiał wtedy Goebbels — po drugiej stronie Kanału La Manche mogła w swym wysiłku wojennym liczyć tylko na czterdzieści parę milionów ludności. Churchill wznosiłymi i pełnymi romantycznego polotu słowami hartował Anglię do przetrwania długiej nocy. Lecz najważniejsze słowa nie potrafiły zmienić wymowy faktów. Czterdzieści kilka milionów Anglików postanowiło wytrwać w walce przeciw stu dwudziestu kilku milionom Niemców i Włochów, przykuwających do swych galerii inne dziesiątki milionów ludzi na kontynencie.

Już w pierwszej wojnie światowej na jednego żołnierza walczącego w okopach musiała pracować trzech robotników w fabrykach, by dostarczyć mu broni, amunicji i odciepzy. W drugiej wojnie światowej stosunek ten wzrósł jeszcze bardziej. 40-0 kilka milionów Anglia nie mogła więc liczyć w ża-

dym wypadku na tworzenie armii zbyt wielkiej liczebnie. Przemysł wojenny rozrastał się i wchłaniał miliony robotników. Zmobilizowane zostały kobiety, zarówno do wojska jak i do fabryk. Wyciąganie z fabryk, kopalni i transportu milionów robotników na nocy się nie zdało. Oznaczałoby to bowiem, że tak sformowana armia nie mogłaby liczyć na nowoczesną broń. Lecz w rozpaczliwej sytuacji lata 1940 i przez długi rok później, gdy groźba inwazji wciąż jeszcze była realna, te miliony robotników musieli zarazem być gotowi w każdej chwili do walki z bronią w ręku, nie rzucając swych warsztatów pracy. Chodziło o to, by z ograniczonej rezerwy ludzkiej, ograniczonej zarówno liczebnie jak i koniecznościami produkcji wojennej, wydobyć maximum zdolności obronnej na wypadek inwazji. Temu właśnie zadaniu służył i częściowo wciąż jeszcze służy — Home Guard.

Początki Home Guard'u były równie wzniosłe jak i śmieszne. Tu naprawdę tylko krok dzielił bohaterstwo od śmieszności. Wyglądała ta armia z początku na komiczne prowincjonalne bractwo kurkowe. Przez długie miesiące po utworzeniu Home Guard'u szeregowcy tej formacji ćwiczyli szermierkę i musztrę kijami od szczotek. Wielkie imperium angielskie nie mogło ich bowiem jeszcze w owym czasie uzbroić w karabiny. Nie było nawet mundurów i ci, którzy mieli „bronić Anglii na plażach, pagórkach i ulicach miast”, poznawali się wówczas nawzajem po skromnych opaskach na rękawach cywilnych marynarek. Anglicy jednak nie są narodem, skłonym do pompatozności. Są w odróżnieniu od innych narodów europejskich zdumiewająco mało wrażliwi na „czar mundur”. Lecz zadania swe umieją traktować na serio i rzeczowo. Home Guard nie był bractwem kurkowym. Miał poczucie swej ważności i roli, do której się sposobił. „Cywil-banda”, której nikt nie wpajał regulaminów wojskowych i której nikt nie wkuwał kanonów bezdusznej dyscypliny, okazała się bardziej zdyscyplinowana i obowiązkowa niż niejedna z kontynentalnych armii regularnych, dowodzona przez bohaterskich marszałków i generałów. Robotnik z fabryki amunicyjnej po 10-cio, a czasem 11-0 godzinnym dniu roboczym stawał po pracy do zbiórki z punktualnością, której mało miałyby do zarzucenia niejedni z zawodowych wychowawców rekrutów. To samo czynił urzędnik z ministerstwa, drogerzysta z głównej ulicy, listonosz po całonocnym drepnieniu od domu do domu. W niedzielę ulice miast, miasteczek i wsi angielskich i szkockich stawały się placami ćwiczebnymi.

* * *

Mineły trzy lata od utworzenia Home Guard'u. Kije od szczotek należą już dawno do wspomnień zamierzających, które przywołuje się dziś z uśmiechem. Do wspomnień również należy dwururka myśliwska, która niegdyś stanowiła wielki postęp w uzbrojeniu tej armii. Home Guard jest już od długiego czasu lepiej uzbrojona, niż niejedna armia kontynentalna na początku wojny. Po szosach Anglii oddziały Home Guard'u maszerują uzbrojone w broń automatyczną, karabiny maszynowe, a nawet moździerze i lekkie armaty. Udać się na wycieczkę niedzielną z Londynu na wieś angielską, natknąć się można na

mnący szosą oddział motocyklistów Home Guard'u, któremu trudno odmówić marsowego wyglądu. Nasza armia z 1939 r. mogłaby śmiało pozazdrościć sprzętu motorowego, jaki posiadała to angielskie „bractwo kurkowe”.

Inwazji wprawdzie dotychczas nie było. Lecz kto wie, czy nie było jej między innymi właśnie dlatego, że dowództwo niemieckie musiało się w planach swoich liczyć z istnieniem tej dwumilionowej armii cywilnej i obywatelskiej, która łącznie z armią normalną stanowiła potężną siłę obronną.

Rola Home Guard'u bynajmniej nie jest skończona. Regularne siły zbrojne Wielkiej Brytanii przechodzą do ofensywy. Kolejne wojny rzucają jej na pustynie Afryki, na szosy i wzgórza Sycylii i przed jej oczy rzucają je z powrotem na równiny północno-flandryjskie. Nikt nie może zgóry wykluczyć możliwości niemieckich dywersji inwazyjnych, w chwili gdy Anglia ogłębiona będzie ze swoich wojsk regularnych. W takim momencie znów głównie brzemień obrony przeciw inwazji spoczywać będzie na Home Guardzie, tej armii par excellence defensywnej, ćwiczonej i wdrażanej do obrony swego zakątka rodzinnego w dosłownym znaczeniu, swego miasta, swej dzielnicy i swej wsi.

Najbardziej charakterystyczną cechą Home Guard'u jest duch obywatelski i demokracyczny, który ją ożywia. W tej dziwnej armii majorowie i pułkownicy z szeskiej wojny pełnią służbę w charakterze szeregowców czasem pod rozkazami swego sprzedawcy gazet-sierżanta lub szofera-kaprala. Dziennikarz, wchodzący w niedzielę do brytyjskiego Ministerstwa Informacji, może często natknąć się na widok dość niezwykły: u

wejścia do gmachu wartownik Home Guard'u zapytuje o przepustkę. Dziennikarz, spojrzawszy na szeregowca-wartownika, poznaje w nim szefa jednego z departamentów, dyplomata o wieloletnim stage'u w różnych stolicach europejskich. Na zmianę posterunku następnego wartownika przeprowadza kapral — woźny tegoż ministerstwa. „Dygnitarz” — oficer z szeskiej wojny — nie ma bynajmniej poczucia swej degradacji. Tłumaczy dziennikarzowi cudzoziemskiemu logikę rang funkcjonalnych. „—Cóż z tego,— powiada, że w szeskiej wojnie służyłem i odznaczyłem się jako kapitan? Zdążyłem się nieco postarzyć. Kości zeszytyniały. Kapral Brown ma niewątpliwie więcej danych, aby dowodzić drużyną, niż ja”.

Pan kapral, oczywiście, również nie jest opromieniony glorią swych naszywek. Pełni swe zadanie prosto i rzeczowo, właśnie jako zadanie, a nie godność.

Przy tym wszystkim Home Guard jest nieodrodnym dzieckiem tradycji angielskiej. Gdy w r. 1940 zaczęto formować tę armię, twórcy jej mieli przed oczyma Milicję Ochotniczą, zaimprovizowaną w okresie wojen napoleońskich, gdy cesarz Francuzów ze wzgórza Boulogne mierzył wzrokiem szerokość Kanału i oczyma zdobywcy spoglądał na rysujące się w letnim słońcu wzgórza kredowe Dover i Folkestone.

Obowiązkowa służba wojskowa ma w Anglii tylko bardzo wąską tradycję. Duchowi obywatelskiemu tej wyspy znacznie bardziej odpowiada właśnie wojsko typu milicji. Kto wie, czy po tej wojnie prototypem nowej armii angielskiej nie będzie właśnie Home Guard.

Paczki do Rosji

i innych krajów alianckich,
SZWAJCARSKI DOM WYSŁKOWY
i ADRESOWY

Tel-Aviv
ul. Hess 1.
Haifa
Hechaluc 59.

„EGO”

Jerozolima
ul. Ben Jehuda 2.
Rechowot
Keibel — Księgarnia nap.
Anglo-Palestyńskiego Banku.

ODDZIAŁY WE WSZYSTKICH KRAJACH ALIANKICH.

PACZKI DO ROSJI

Zainteresowani pragnący pomóc krewnym w Rosji, zechcą zgłosić się w sprawie zasięgnięcia informacji w naszym biurze. Paczki są doręczane adresantom w ciągu dwu miesięcy.

BRACIA GURARI

TEL-AVIV, Rothschild Blvd. 17

RECHOVOTH, dom Char'ab, koło centralnej stacji autobusów.
Biuro czynne od 10—1 i od 4—7 popoł.

S. A. PLESZCZYŃSKI i T. K. SOWICKI

GARDEN PARTY

SZTUKA W CZTERECH AKTACH

AKT III

Scena przedstawia schron centrali telefonicznej. Na ostatnim planie z prawej centrala. Przy ścianie trzy postacie, prymitywnie zbudowane z desek, skrzynek po amunicji i konserwach — z napisami oryginalnymi. Na ścianach powieszane chlebaki, maski przeciwgazowe, piaszce przeciwpierotowe, manierki. W jednym rogu dwa karabiny, na nich zawieszono hełmy stalowe.

Z lewej banki niemiecka i miednica z angielskiej banki od benzyny, nad nią ręcznik. Nad żółciem w głębi Ostrobramska i fotografia kobiety z małym dzieckiem na ręku. Nad prawym żółciem szkice, karykatury i mapa basenu morza Śródziemnego.

Nad lewym posłaniem kilkanaście reprodukcji piękności filmowych. Koło prawego posłania stolik ze skrzynki od konserw. W tylnej ścianie obok centrali niskie wejście z widocznymi schodkami, zakręcającymi w lewo i prowadzącymi w górę. Nad centralą samochodowa lampa elektryczna, połączona kablem z akumulatorem, stojącym pod stolikiem centrali.

Przy centrali siedzi Adam ze słuchawkami na uszach. Coraz, gdy zapali się świeczko i zabrzni brzęczyk, łączy. Ten monotonny pógłos jego pracy jest podkładem dźwiękowym całego aktu.

Na prawym łóżku śpi Marek. Na lewym siedzi Grzesi, zajęty wycinaniem nowego fotosu z jakiegos angielskiego magazynu. Wszyscy trzej ubrani są w długie, jasne, drelchowe spodnie z owijkami i sukienne angielskie battle-dressy. Na kołnierzach czarno-czerwone proporceyki. Marek przedtem powiesił swój battle-dress na ścianie; śpi w swetrze khaki.

SCENA I

ADAM, GRZES i MAREK

ADAM do mikrofonu: Tu centrala Boney dwa... Boney siedem łączy.

GRZES wyjmując wycięty fotos z pisma, oddała go od siebie, przygląda się, czyta: Kitty Folie — miss Chicago — na tysiąc dziewięćset czterdziesty rok. Patrzenie — no — takas to ładna? No, zobaczmy...

ADAM: Mówi się? — Mówi? — Rozłączam.

GRZES wstaje i cichym głosem przedrzeźnia Adama: Wiesz się? — Wiesz? — Wieszam. Przymierzam fotos na ścianie, kłękając na posłaniu. Staje przed wytapetowaną ścianą i mówi do Kitty: Oczy masz rzeczywiście prima, nogi średniutkie — a reszta, no... zobaczmy, zobaczmy...

Dostaniesz miejsce między Carmen Mirandą i Alicją Fay. Tylko się nie pobijcie, moje sliczne. Przyczepia fotos.

ADAM: Tu centrala Boney dwa. Łączę z Janem.

GRZES: Marek, powiedz, czy ładna. Słyszysz? Ty — esteta!

ADAM lekko zirytowanym głosem: Proszę mówić!

MAREK odwraca się ku środkowi schronu, ziewając: O co wam chodzi?

GRZES wskazując na Adama: To on chce koniecznie, żebyście ktoś z kimś mówił... Mówi się? ...Mówi? Słyszysz? — A ja chcę cię uprzejmie prosić, żebyś rzucił zaspanym okiem i ocenił wdzięki mojej nowej róży harem.

MAREK opiera się na łokciu i patrzy na fotosy: Ta koło Carmen? Taka sobie. Kolana ma brzydkie, tak jak 95 procent kobiet na świecie. Zresztą ludzie szaleją nieraz właśnie za brzydotą. Czy ja wiem? — Daj mi spokój.

GRZES: Spokój, spokój, a ja i tak wiem, o czym ty myślisz. Do Adama: Nie brzęcz, Adam, o kobietach się mówi...

ADAM do mikrofonu: Mówi się, mówi?

GRZES: A mówi się, żebyś wiedział. Do Marka: Marek, ty ciągle myślisz, przyznaj się, stary... o...

MAREK kładąc się na wznak na łóżku: No... dokończ.

GRZES: Mnie się zdaje, że... o jednej i o drugiej.

MAREK wyraźnie rozdrażniony: Cóż ty o tym wszystkim możesz wiedzieć, ...antykwaruszu. Odwraca się do ściany.

ADAM który zdjął po chwili słuchawki: Antykwaruszu? Czego?

MAREK przez ramię: Gwiazd filmowych z zeszłorocznych magazynów.

GRZES: O, zaraz musisz być złośliwy. Siada na brzegu posłania i jakby sam do siebie: Wy się śmiejecie, że ja zbieram te fotosy i ozdabiam...

MAREK: Tapetuje.

GRZES: Niech będzie, tapetuje — tapetuje nimi ściany. A przecież każdy z nas tutaj lubi popatrzyć na miłą buzię, ładne nogi i ładne — no... wogóle... A że nie ma w naturze, to chociaż na obrazku. Po chwili: Żeby chociaż... och... Wzdycha — gdyby Daisys przysłała mi swoją fotografię, wszystkie te bym wyrzucił.

MAREK i ADAM jednocześnie, szybko odwracając się ku niemu: Fluu... Daisi??

GRZES: No, cóż się tak dziwić? Często sobie o niej myślę i cieszę się, że jak ją znowu zobaczę, to jej wszystko opowiem...

MAREK: Cóż ty jej opowiesz?

GRZES: Mówię ci, wszystko — wszystko, co sobie o niej myślę. To nie będzie trudne, przecież ja, na szczęście, nie mam takich komplikacji, jak ty.

MAREK poważnie: Masz rację, tobie jest łatwiej.

GRZES: Bo ja myślę, że w tych sprawach nie powinno być dramatów: podoba ci się więcej od innych, ty jej się też trochę podobasz — no to... buch kasztan do wody!

MAREK siada na łóżku. Do Grzesia: Masz jeszcze „playersa”. Tak mi się już znudziły te fasowane gwoździe.

GRZES wyjmując papierosa z kieszeni i rzuca Markowi: Łap!

MAREK zapala, zaciąga się dymem, opiera głowę o ścianę i nie patrząc na nich: Żeby to tak można... tak, jak ty mówisz.

GRZES ze współczuciem, jakby perswadował: Marku, właśnie tak trzeba. Do Adama, jakby prosząc go o pomoc: Adam, prawda, że mam rację?

Adam zdjął słuchawki, położył je na centrali, zapala papierosa i patrzy poważnie na Marka, jakby szykował się do odpowiedzi Grzesiowi.

MAREK nie zwracając na nich uwagi: Kiedyś kłóciłem się z przyjacielem, że taka sytuacja dla mężczyzny jest niemożliwa, że to się nie może zdarzyć.

ADAM: Jaka sytuacja?

MAREK tym samym tonem, potem crescendo: ...A teraz widzę, czuję, sam wiem, o, aż nadto dobrze, że to możliwe. Z bólem: Ale dlaczego ja musiałem tego doświadczyć?

ADAM: O czym ty mówisz?

Grzesi wstaje, podchodzi do centrali, lekko odświadcza Adama, nakłada słuchawki i na sygnał, który właśnie zabrzni, zaczyna obsługiwać centralę.

GRZES: Tu centrala Boney dwa. Łączę z Olkiem.

ADAM który ustąpił miejsca Grzesiowi, stoi na środku schronu, patrzy ze współczuciem na Marka: Marku, powiedz, przecież my teraz możemy mówić o wszystkim... Tak już tu jest.

MAREK półszeptem: Nie powinno być wątpliwości... Każdy musi wiedzieć, która mu jest najbliższa, najbardziej upragniona, najważniejsza.

ADAM spokojnym głosem, cicho, z głębokim przekonaniem: Gdyby żadna z nich nie była najważniejsza, nie męczyłbyś się tak. Jedną z nich... Poznasz to kiedyś w jednej krótkiej chwili, wtedy będziesz wiedział napewno.

MAREK dopiero teraz spogląda na Adama: Tak myślisz?

ADAM: Wiem. Patrzy chwilę w oczy Markowi, uśmiecha się, potem podchodzi do swego posłania, bierze jakieś zawiniątko i kieruje się ku wyjściu.

MAREK jakby chciał go zatrzymać: Już idziesz?

ADAM pokazuje na zegarek na ręku: Toffi na mnie czeka, nie mogę mu zrobić zawodu. Za dziesięć minut wrócę. Wychodzi.

SCENA II

MAREK, GRZES, potem ADAM.

MAREK zirytowany, do Grzesia: — Zwariowałem z tym szcurem...

GRZES: Spróbuj nazwać kiedy przy Adamie jego ukochanego skoczka afrykańskiego — szcurem. Gotów cię wyzwać na pojedynek.

MAREK: Mówię ci, że to jest jeden z objawów aberacji frontowej, czy wojennej — jak chcesz. Żeby taki poważny człowiek jak Adam najpierw przez dwa tygodnie oswajał jakiegoś szczura — pardon, skoczka afrykańskiego, a teraz codziennie spieszył się na to rendez-vous, jak do kochanki. Kuku na muniu, mówię ci.

GRZES: Cóż, mój drogi, każdy z nas ma jakieś kuku... Adam Toffiego, ja, według ciebie, fotosy aktorów filmowych, a — no a ty — dobitnie i pośpiesznie, bo zauważył: sygnał na centrali — komplikacje.

MAREK: Drogie, kochany, prostolinijny, zdrowo-rozsądny Grzesiu, błagam cię, obsługuj centralę, wycinaj fotosy, śpiewaj, tańcz taniec brzucha, pisz wiersze — pal Rzym, czy ostatecznie Paryż, tylko nie baw się w psychologa. Mój kochany, jeżeli mnie choć trochę lubisz.

GRZES łączy jakąś rozmowę, macha ręką na znak zgody i jednocześnie prosi o chwilę ciszy: Tak jest, panie majorze — Silver Jan jest teraz na Boney piętnaście... Boney piętnaście łączy.

MAREK który mówił, podszedł do Grzesia — teraz, czekając, aż ten skończy pracę, przypatruje się fotografii, wiszącej nad posłaniem Adama. Widać, że teraz zainteresował się tym zdjęciem, na które patrzył może od miesiąca.

Wreszcie zdejmując fotografię i przyglądając się jej, siada na posłaniu Adama za plecami Grzesia. Przysłała mu siebie, ale nawet mu w oczy nie patrzy, tylko na dziecko, jakby oczami pokazywała, dla kogo on teraz przede wszystkim ma sens żyć... czy umrzeć, bo ja wiem... Po chwili: Patrz-no, Grzesiu, taki jakiś fotograf zrobił to zdjęcie i może nawet nie odczuł treści tego wyrazu... Boże miły, jakby to można malować.

GRZES wyraźnie naumyślnie cicho, żeby nie przeszkadzać Markowi: — Mówi się? — Mówi? — Rozłączam.

MAREK wstał, zawiesił fotografię na miejscu, powoli podszedł ku przodowi sceny i usiadł na bance od wody, mówi cicho; w tym momen-

cie wszedł Adam, niezauważony, i zatrzymał się u wejścia: Ze wszystkich stron świata wysyłają te różne Ireny, Janiny, Wandy, Halki, Haliny, Bałki i Krystyny — wysyłają do nas miłujące myśli i drogą najgorętszej czerwieni i jasnych rozżoconej ogromnej tęczy, rozpiętej nad nami, której ramionami jesteśmy złączeni — my i one.

GRZES: Żona Adama ma na imię Ewa.

MAREK: Nie żartuj!

GRZES: Naprawdę tak ma na imię.

ADAM schodzi z ostatniego stopnia: Marek i Grzesi patrzy na niego trochę zażenowani tym, że mówili o jego żonie. Adam podchodzi do łącznicy, daje znak Grzesiowi, że zajmie jego miejsce. Grzesi wstaje, a Adam siada, nakładając słuchawki na głowę:

Dobrze to powiedziałaś, Marku. One wszystkie gdzieś po tamtej stronie łuku tęczy czekają i znajdują siły na to czekanie — bo to jest ich wiara. Tak jak naszą wiarą... Płaczę się i poprawia: Tak, jak my wiele możemy przetrwać, dlatego że wierzymy, że one się nas doczekają.

Spogląda na Marka: gdziekolwiek są — blisko, czy daleko.

GRZES: Blisko, czy daleko, w kraju czy u obcych, gdzie tylko przejdzie żołnierz — zostaje zawsze jakaś dziewczyna, która czeka jego powrotu. Macha ręką: A my, żeby nie wiem kto na nas czekał, nie ruszamy się dotąd, dopóki Angliki nie stukną Niemców od Halfa.

ADAM: Mówię, że to się musi zacząć najpóźniej w listopadzie.

GRZES: Adam, naprawdę tak mówią? — Marek! Złaż z tęczy, ofensywa idzie! —

MAREK rozjaśnia się: No — jak się tylko ruszymy, oni tam, a my stąd, to się musi przedko skończyć. Jeszcze jakiś pościg... i pewnie nas złuzują, a wtedy sobie pojedziemy...

MAREK i GRZES niemal równocześnie: Do Alex! Marek nuci murmurando kilka taktów, a potem słów tekstu piosenki „Good bye Alexandria”.

GRZES: Słuchaj ty, śpiewający malarzu, z Alex jest grubo bliżej do domu, niż stąd? I lepsza komunikacja, co?

MAREK z westchnieniem: Oj, ty, geografie, — akurat naodwrot — zmierz sobie na mapie.

GRZES: A no zobaczmy. Podchodzi do mapy, wiszącej nad posłaniem Marka, Marek przykłada linijkę.

MAREK: Raz, dwa... dwa tysiące dwieście osiemdziesiąt... dwa tysiące trzysta kilometrów... stąd na Okęcie.

GRZES: A zmierz z Alex.

MAREK zmienia położenie linijki i mierzy: Dobrze. Jest ponad dwa tysiące pięćset kilometrów. Mówię ci, że dalej.

GRZES powtarza. Dwa tysiące pięćset kilometrów. Zazdrośnie: Anglicy do Londynu, Australijczycy do Sydney, Afrykańcy do tego ich tam Darbanu — mają grubo więcej, niż my do Warszawy, a przecież dostają stale wiadomości o swoich, fotografie, listy...

ADAM surowo: Dobrze wiesz, dlaczego oni to mają, a my nie. Poco o tym gadać. Do mikrofonu: Boney dwa — słucham. Dla nas? No to przesyłajcie — najlepiej... a już wyjechali — dobrze — koniec. Zdejmuje słuchawki. Do Marka i Grzesia: — Jest poczta dla was obu. Zaraz tu przysła, tym Morrisem, który jedzie na punkt. Do Grzesia: — No widzisz, takes narzekał.

GRZES: Dawno wyjechali?

ADAM: Przed pół godziną. Powinni już być. Do mikrofonu: — Boney dwa — słucham — tak, tak... tak jest — koniec. Wyciąga wtyczkę i do Marka: Marek, idźże zaraz do naszego porucznika po rozkazy — coś się kroi. Marek zdejmując battle-dress z gwoździ i wkładając go do drożdzy, wychodzi szybko ze schronu.

GRZES: Oho — czuję, że się dziś nie wyspię. Za duży ruch na kablu. Wchodzi Antos.

SCENA III

GRZES, ADAM, ANTOS.

Antos w piaszczu i pełnym oporządzeniu paracianym, w „pończoszce pod hełm” i stalowym hełmie na głowie, w rękach trzyma trzy paczki, zaszyte w płótno i pokryte napisami i pieczęciami lakowymi. Staje w wejściu.

ANTOS: Grzes, trzymaj — to dla ciebie! Rzuca następne dwie paczki: — A te dla Marka.

ADAM: Cóż tyś taki bojowy?

GRZES: Wojna będzie, czy co?

ANTOS serio: Na punkt jadę. Nie wiecie? Wychodząc: — Będzie małe święto morza. Servus!...

GRZES który rozpakował płócienną paczkę, pogrzebał w niej, wyjął kopertę, a z niej dużą fotografię Daisy w kostiumie kąpielowym — odsuwa ją od siebie, żeby lepiej obejrzeć, patrzy rozpromieniony, szybko odwraca się do fotosów nad swoim łóżkiem: — No, pani, ewakuacja. Ukazuje fotosom fotografię Daisy: Trudno, musicie mnie zrozumieć, prawdziwa królewna przyjechała. Stawia fotografię na stoliku, szybko zdejmując fotosy ze ściany, w pewnej chwili zwraca się do fotografii Daisy: — Chwileczkę, zaraz będzie miejsce, excuse me. Po chwili na odczyszczonym teraz

ścianie wieszona fotografia Daisy: — Widzisz sama, najpiękniejszy harem świata zlikwidowałem dla ciebie. Marek wchodzi szybko, zbliża się do Adama i nachyla się nad nim, trzymając w ręku notes.

SCENA IV

MAREK, GRZES, ADAM.

Grzes przerwał czytanie listu, słucha.

MAREK: Więc słuchaj. Połącz siódmkę, trójkę i piętnastkę na okólnik. Teraz tak: centrala Boney będzie na podsłuchu... z porucznikiem łączność przez Advans. Jakby coś nawaliło na naszej linii, to on będzie mówił przez linię ogniową Jana, a my w tym czasie naprawimy. Aha — do majora ciągną już dodatkowy kabel z piętnastki. A-bis na Kokę. — Sprawdź i tamtą linię.

ADAM cały czas słucha bardzo uważnie: — Dobrze, rozumiem. A co będzie? Nie wiesz?

MAREK: Wypad na wzgórze „22”.

ADAM: Kto pójdzie?

MAREK: Drugi szwadron, — my wspieramy.

GRZES: Mówiłem, że się dziś nie wyspię. Marek — twoje paczki. Wskazuje ręką.

MAREK żywo: Naprawdę do mnie? Odwraca się do Adama: Będziemy dyżurować na zmianę, to może potrwać do rana. Podchodzi do stolika otwiera pierwszą paczkę, wyjmując papierosy, butelkę wody kolonijnej, mały koniak, czekoladę, cukierki.

GRZES przy wyjmowaniu poszczególnych przedmiotów: — Bravo! — „Camele”! — będzie co palić. O i pić jest co. Sylabizuje. Me-di-ci-na! I wonności są. U mnie jest to samo, widocznie się Daisy z Cleo umówiły.

MAREK: Kochana dziewczyna! — zaraz jutro do niej napiszę. Otwiera drugą paczkę, wyjmując znow podobne prezenty, potem książkę i kilka numerów „Wiadomości Polskich”:

Patrzcie no. Sześć numerów „Wiadomości”. Kochana Ewa! jak ona wie, czego nam najwięcej brakuje. Otwiera jeden numer, przetrzuca szybko strony, bierze po kolei następną — widać, że jest naprawdę uciechony. W pewnej chwili odkłada pisma i szybko bierze książkę, — ogląda ją, uśmiecha się serdecznie, prawie rozrzucony, czyta półgłosem autora i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Bożę kocham — umówiły się i tytuł, potem kładzie się na łóżko i zaczyna czytać od pierwszej strony. Machinalnie sięga do chlebaka, wyjmując fasowanego papierosa, zapala i pograża się w czytaniu.

GRZES przez ten czas dokładnie porównał zawartość swojej paczki i obu Markowych, zwłaszcza interesują go zapachy wody kolonijnej — wacha to jedną to drugą flaszke: — Identyfikacja — jak Boż

czuć nieprzyjacielską artylerię i karabiny maszynowe na „Twin Pimple”. Do Adama: Co? Co nowego?

ADAM: Z brygady pytali o wiadomości, z Koki odpowiedzieli, że cisza.

GRZEŚ: Cholera, chciałbym tam być, Marku, nasi ułani dadzą im tam łupnia? A dużo ich poszło?

MAREK: Mówiłem ci, szwadron.

GRZEŚ bierze mapę z rąk Marka, przygląda się jej i po chwili: Czy „22” jest mocno brońone?

MAREK: Wątpię, ale jest pod ogniem z grzbiotu „32”. Nasi mogą zdobyć bunkry i właśnie wtedy wejść pod cały ogień włoskich cekaemów i moździerzy. Pokazuje mu znowu na mapie: Widzisz? Stąd mogą dostać ogień — i stąd. Do Adama: Co? Nic nowego?

ADAM: Znowu pytali z brygady, nic... cisza.

GRZEŚ: Podchodzą makaroniarzy, jak wilki, ale już chyba muszą być tuż, tuż... Odkłada mapę na łóżko Marka i zaczyna chodząc ci-chym krokiem po schronie. Zatrzymuje się przy stoliku, bierze butelkę z koniakiem, spogląda na obu kolegów, skupionych przy centrali, odkręca powoli korek, znów spogląda na nich i pije spory łyk, poczem do Marka i Adama: Napijcie się?

MAREK nie odwracając się, wyciąga rękę: Powinna być tam herbata w manierce.

GRZEŚ podaje Markowi manierkę, z której ten pije i z kolei podaje Adamowi. Grześ wrzuca ramionami: Jak sobie chcecie. Wraca do stolika i pije jeszcze jeden łyk. Przez chwilę zupełnie cisza, Grześ zbliża się na palcach do centrali.

ADAM pochyla się ku centrali, daje ręką znak ciszy, przytrzymuje obu dłońmi słuchawki na uszach i rzuca głośno urwane słowa: Rakietka... Włosi oświetlają... strzał... zaczęło się! Dowódca ułanów melduje, że szwadron poszedł do szturmu... ale słychać strzelaninę...

GRZEŚ i MAREK jednocześnie: Daj na chwilę. Przysuwają uszy do głowy Adama, który odwraca im jedną słuchawkę.

MAREK odskakuje i nerwowo zaczyna chodząc po schronie: Boże jedyny, urwać się tu można! Opamiętaj się i na palcach wraca do centrali — bierze i zapala papierosa, podanego mu przez Grzesia, który potem zapala sam dwa papierosy i jeden z nich wkłada w usta Adamowi.

ADAM daje znowu znak ciszy: Cicho. Po chwili: Długosz melduje do pułku azymuty baterii włoskich i niemieckich. Mówi, że strzelają tam gęsto po nich. Doskonale słychać.

GRZEŚ: Zaraz zaczną i po nas, tak jak przeszliśmy razem.

MAREK: Byle tylko kabla nam nie przecięli.

GRZEŚ: E — akurat mają trafić w nasz kabel. Znowu dłuższa chwila wyczekiwania, pełna napięcia, słychać kilka stłumionych dość wyraźnych detonacji. Z pułapu syple się trochę piasku.

GRZEŚ podnosi głowę do góry: Nie mówiłem. Już nas macają. Znowu dłuższa chwila ciszy, w czasie której słychać nowe detonacje.

ADAM: Brygada żąda meldunków. Z Koki podają, że jeszcze nie ma wiadomości. Po chwili: Czekać, cichnie strzelanina.

GRZEŚ: Co to znaczy?

ADAM: Cicho. Przysłuchuje się: Brawo, ułani, wzgórze „22” zdobyte, wzięli jeńców...

MAREK i GRZEŚ jednocześnie: Brawo!

GRZEŚ do Adama: Mów, nasi mają straty? Muszą mieć. Cholera, tak poszli na bagnety. Bez przygotowania artyleryjskiego, w ten ogień.

Z najwyższym uznaniem: Niech ich szlag trafi. Daj teraz mnie. Zamieniają się przy centrali. Adam wstaje, przeciąga się.

GRZEŚ woła z entuzjazmem: Słuchajcie, pierwszy jeniec jest już na Azecie, z tej strony wawozu. Po chwili zaczyna się śmiać.

MAREK: Czego się śmiejesz?

GRZEŚ przez śmiech: Na całej linii wesołość. Odwraca się do nich: Nasz porucznik musiał mieć mikrofon przy ustach, tak że na całej sieci było słychać, jak stroskanym głosem prosił ułanów, żeby dobrze schowali jeńca w pilboxie, bo go jeszcze włoski pocisk może trafić.

MAREK: chwytając mikrofon i woła: Ułani! U-słuchajcie Blacka! Obwieście Włocha w wate pancerną. Wszyscy trzej śmieją się. Słychać silniejsze wybuchy. Do schronu wpada schylony młody ułan z obandażowaną ręką, rzuca szybkie spojrzenie po telefonistach i staje płasko przytulony do ściany z lewej strony wejścia.

SCENA V

MAREK, GRZEŚ, ADAM, ULAN.

GRZEŚ odsunął trochę słuchawkę z uszu i odwrócił się z lekką kpną: Cóż za zaszczep, prosimy. Tak gorąco tam na górze? Może papierosa? Popatrzno, przyjacielu, oryginalny „Camel”.

ULAN podchodzi do Grzesia, jeszcze raz rzuca szybkie spojrzenie na wejście, bierze i zapala papierosa. Na ruch zapraszający Grzesia siada na jego posłaniu i uśmiecha się, już zupełnie uspokojony: Ale miałem cykorię. Chciałem pójść na naszą centralę, żeby się dowiedzieć, jak tam naszym poszło, a tu, jak gruchną serię, — myślałem, że już koniec. Ledwie się tu skrzyż do waszej jamy.

GRZEŚ: Cykorię, owszem, zauważyłem, ale nie dziwię się, sambym kucał. To przez tę rączkę nie wzięli kolegi na wypad?

ULAN: Mmmm — takie moje szczęście —

wczoraj oberwałem trochę na patrolu.

GRZEŚ: To rzeczywiście pech, ale wiadomość możesz kolega u nas dostać. „22” zdobyte, wzięci jeńcy, byczo jest, co?

ULAN: Dużo naszych rannych?

GRZEŚ: Jeszcze nie wiemy, ale muszą być.

Wiesz, kolega, gdzie drwa rąbią...

ADAM odbierając Grzesiowi słuchawkę i zajmując jego miejsce. Z wyrzutem: Miałeś pod-

słuchiwać, a gadasz, jak najęty. Grześ odchodzi, nadąsany, i ślada na swoim łóżku.

ADAM: Cicho. Po chwili: Zażądali więcej noży sanitarnych; mówią, że co drugi ułan oberwał... Zabity zdaje się tylko jeden, ale rannych kupa... czekajcie... trzech oficerów...

ULAN: Panie, nich się pan dowie, czy Wujek

wyszedł cało. To taki byczy chłop.

MAREK: Ten wasz rotmistrz?

ULAN z błyskiem w oczach: Hm... hm...

ADAM: Zaraz. Dmucha w mikrofon: — fff — Koka? — fff — Koka? Czy wujek wrócił? Jeszcze nie? Ale zdrow, co? Koniec. Do ułana: Jeszcze nie wrócił, ale przysłał majorowi meldunek przez gońca. Filnuje zbierania rannych.

MAREK: Żeby tylko teraz nie dostali szprycy. Właśnie w tej chwili może wyjść włoskie przeciwnatarcie. Wtedy my będziemy musieli o-

O KAMPANII WRZESNIOWEJ

Kampania Wrześniowa 1939 w Polsce, Henryk Piątkowski. Jerozolima 1943. Biblioteka Orla Białego, Str. 31.

Opracowania kampanii wrześniowej 1939 r. ukazywały się dotychczas na Zachodzie. Byli tam i wyżsi wojskowi polscy, którzy zdolali przejść przez granice, względnie wcześniej znaleźli we Francji, a później na gościnnej Ziemi Brytyjskiej, a także i ośrodek intelektualny polski tam się formował.

Na Wschodzie zebrali się stosunkowo nieznaczna garstka żołnierzy, z których powstała Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich. W oparciu o nią powstało swoiste intelektualne życie. Praca autora pochodzi z tego początkowego okresu Wojska Polskiego na Wschodzie, gdyż — jak głosi uwaga na wstępie — jest ona dosłownym przedrukami serii artykułów, ogłoszonych w dwutygodniku SBSK „Nasze Drogi” — rocznik 1941.

Przebieg kampanii wrześniowej jest przedstawiony z punktu widzenia Naczelnego Dowództwa. Autor bierze pod uwagę wszystkie momenty militarne, polityczne, gospodarcze, które wpłynęły na tok wydarzeń.

Z punktu widzenia konstrukcji praca autora jest wzorem, jak pisać należy. Zwarta, logiczna, konsekwentnie prowadzi do celu, jakim jest możliwie bezstronne przedstawienie przyczyn, warunków i przebiegu kampanii. Autor jest zwolennikiem decyzji, powziętych przez Naczelnego Wodza w ostatnim stadium działań. Jest ona dla niego jedyną alternatywą, którą dała klasa militarna i interwencja naszego wschodniego sąsiada w dniu 17 września 1939 r. Stojąc na tym gruncie, stosuje autor jedynie dopuszczalną metodę, oceniając to, co się stało. Metodą tą jest fachowa, beznamiętna, z punktu widzenia wojskowego ocena tych wszystkich czynników, które złożyły się na wynik kampanii.

30 stron omawianej pracy zostało wykorzystanych sumiennie. Kłeskie wojskowe, poniesione we wrześniu 1939 r. wyjaśnia autor dysproporcją sił z politycznego, gospodarczego i strategicznego punktu widzenia. Położenie Państwa Polskiego między dwoma kolosami, niekorzystne granice, słaby przemysł, wyposażenie armii (uzbrojenie i zmotoryzowanie) nie dostosowane do doktryny, której ona holdowała, niegotowość aliantów — oto przyczyny tego, co się stało.

Konkluzja pracy jest ustęp na stronie 6, kończący pierwszy rozdział:

„O ile sojusz wojskowy zawodził, o tyle polityczny wytrzymał próbę życia, gdyż Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Trzeciej Rzeszy.

Wybuchła druga wojna światowa, w której Polska wzięła na siebie cały ciężar jej pierwszej kampanii. Związała niemal wszystkie siły lądowe, co najmniej połowę sił lotniczych i część floty wojennej Trzeciej Rzeszy. Umożliwiła sojusznikom mobilizację, a zadawszy ciężkie, krwawe straty Niemcom, sprawiła, że Hitler nie był w stanie wznowić ofensywy przeciw sojusznikom Polski jeszcze jesienią 1939 roku”.

Rozróżniając dwie grupy przyczyn klęski, zawinione przez nas i zawinione przez Sprzymierzonych, analizuje autor stan polskich przygotowań wojennych. Stąd płynie krytyka pociągnięć polskich. Autor nie formułuje oskarżeń, a tylko przedstawia elementy dla wytworzenia sobie zdania, czy zrobiliśmy wszystko, by wrześniowy wypadek dla nas i dla wojny jak najkorzystniej. Zasadnicza bowiem teza autora zdaje się być, że mogliśmy mieć i większą i lepiej uzbrojoną armię, która miałaby szansę zmierzenia się z napastnikiem w warunkach, w których każdy z przeciwników miał-

by możliwości przeprowadzania jakichkolwiek działań. Tak, jak było w 1939, to przecież nawet nie mogliśmy się porządnie wycofywać. Oto elementy, które pozwalają wytworzyć nam sobie zdanie, jakie były nasze, polskie zawińienia. Wskazują one także na to, kto za nie odpowiada.

Str. 7. „Dopiero dosłownie ostatnie lata przed wojną przynoszą jaśniejszą myśl defensywną, znaczącej zmiany zmodernizowania sprzętu uzbrojenia Polskiej Armii. Rok 1936 przynosi plan rozbudowy przemysłu”. Na stronie 8 stwierdza autor, że rozbudowa przemysłu wobec wybuchu wojny była spóźniona. Na stronie 10, mówiąc o polskiej doktrynie wojennej, stwierdza autor: „Jak długi okres czasu brakło w Polsce podejścia do właściwego nastawienia wojska i państwa na odpowiednie przygotowanie do wojny, świadczy fakt, że Inspektorat Obrony Powietrznej Państwa mianowano (po raz pierwszy) dopiero w roku 1936”. Na tej samej stronie autor stwierdza, że „jako przeciwnika widziałano przede wszystkim piechotę nieprzyjaciela”. Jako datę wyjścia z archaicznego myślenia o przyszłej wojnie podaje autor rok 1936, od której to chwili robione są wielkie wysiłki, żeby w miarę posiadania środków sprostać gotującej się przeciw nam lawinie żelaza i stali. Niestety, ten moment nastąpił zbyt późno. Dysproporcja uzbrojenia, jak ją autor przedstawia (str. 11 i 12), była tak wielka, że w praktyce oddziały polskie nie miały innych szans, jak w ciągu kilku dni, mimo całego bohaterstwa żołnierzy i dowódców, ulec przewadze. A ostatecznie nawet w tych warunkach, w jakich znajdował się polski przemysł wojenny, można było sobie pozwolić na wyposażenie Armii Polskiej w sprzęt i w związki taktyczne, które umożliwiłyby jaką taką szansę oporu. Autor podaje przykład armii „Kraków”, która, posiadając jedną brygadę pancerno-motorową Maczka, potrafiła uchronić się od przeskrzydlenia i mogła przeprowadzać działania odwrotowe.

Niedociągnięcia i brak „mającego nastawienia” istniały także i gdzie indziej. Omawiając plany mobilizacyjne polskie, stwierdza autor, że stary plan „S” był w roku 1935 nieaktualny i że następny plan, sporządzony później, przewidujący powołanie 75% sił t. zw. mobilizacji cichej: „...w stosunku do projektów, które w roku 1935 zastano w Sztabie głównym...” był znacznym postępem (str. 13—14).

Wszystkie te dane pozwalają ustalić, że można było przygotować Armię Polską do walki, która by przypominała mniej masakrę, w której lance i bagnety przeciwstawiano czołgom i bombowcom, gdyby modernizacja armii rozpoczęła wcześniej. Najwyżej bowiem trzy lub cztery lata przygotowywalibyśmy się do wojny.

(Procent ludzi, którzy od roku 1926 pochodzili z szeregów wojska, a którzy zasiadali w rządach polskich, był bardzo wysoki. Nie brak było między nimi wojskowych, piastujących wysokie stopnie. Któż bardziej, niż oni, powinien był mieć to właściwe nastawienie, którego brak, przynajmniej do roku 1936, autor wytyka? Stoimy wszyscy wobec tragicznej pomyłki, wobec tragicznej winy, która może nie całkiem spoczywa na barkach tych, którzy powinni byli pomyśleć o tym wszystkim, o czym nie pomyślano, a która tak ogromnie utrudniła naszemu żołnierzowi spełnienie obowiązku. Jest to może wina szkoły politycznej, która nie potrafiła sprostać wymaganiom, stawianym przez wiek XX, która nie umiała znaleźć właściwej drogi do rozwiązania nie tylko problemów wojskowych, ale także społecznych, gospodarczych i metod rządzenia.

kp.

ślaniać ich ogniem. Do Adama: Sprawdź połączenie do wszystkich baterii.

ADAM: Zaraz, tu Boney dwa... tak jest, panie majorze, uważamy... rozumiem, wszystko w porządku, Do Marka: Major mówi, że teraz jest najbardziej niebezpieczny moment, żeby uważać na połączenie z bateriami. Wywołuje poszczególne kryptonimy: Boney trzy, dobrze... Boney siedem... dobrze, Boney piętnaście... Boney jeden... fff... Boney jeden. Słychać nowe silne wybuchy.

GRZEŚ: Ale grzeją, skurczybyki.

ADAM: Czekać... Boney jeden... Dmucha coraz mocniej... fff... fff... Potrzasa mikrofonem... fff... fff... mocniej wleśka wtyczki, nerwowo poprawia się na stołku: Cholera!

MAREK i GRZEŚ jednocześnie: Przerwane połączenie? Adam, gadaj!

ADAM ucisza ich ruchem ręki: Centrala Boney jeden... zgłosić się. Boney jeden zgłosić się. Do kolegów: Musiał pocisk przeciąć kabel między nami a dywizjonem.

MAREK wstaje szybko z postania: Grześ!

Idziemy na linię. Zabierz narzędzia, aparat,

kawałek kabla i izolację, — szybko.

GRZEŚ: Nie mówię, że to skurczybyki.

Przygotowuje pospiesznie narzędzia.

MAREK: Adam, wywołaj majora przez Advans, powiedz, że nasza linia przecięta. Niech się łączy z bateriami przez Boney piętnaście.

„A”. Do Grzesia: Chodź, Grzesiu. Do Adama,

już od wejścia: Zawiadom porucznika, powiedz, że postaram się zaraz naprawić.

Serwus!

GRZEŚ zarzuca na ramię torbę, na drugie aparat telefoniczny. Wesoło do ułana: Niech

no kolega posiedzi tu, będzie wam we dwójkę wesołej. Mocne wybuchy, w wejściu syple się

piasek. Żebyście się wyrzucali koleczastym makaronem! Znowu do ułana: Adam i tak musi

czekać, aż naprawimy linię. Możecie sobie pograć w durnia, macie obaj duże szanse. Adam

rzuca za nim maskę p-gazową, jednocześnie

słychać głos z góry.

MAREK: Grzesiu, czekam!

GRZEŚ już ze schodów: Idę, idę. Wychyla głowę ze schronu i do Adama: Kiepsko strzelasz,

Katonie. Excuse me! Wybiega.

SCENA VI

ADAM, ULAN.

ADAM do centrali: Tak jest... już poszli na linię. Myślę, że musieli trzasnąć gdzieś niedaleko nas... tak... koniec. Zdejmuje słuchawkę, trze obolałe uszy, zapala papierosa, którego podał mu z pudełka ułan: Akurat musiał teraz nawalić najważniejsza linia.

ULAN z troską w głosie: Mogli chyba przeczekać tę nawałę i naprawić później, jeżeli mówicie, że wasz major ma inne połączenie z bateriami.

ADAM: A jak drugąby przerwano? Nie ma gadania, musieli iść. Z troską w głosie: Nie powinno im się przecieć nie stać. Nie pierwszy raz to robią w takim ogniu. Zakłada słuchawkę, do mikrofonu, dmucha: fff... Boney jeden? Do ułana: Cisza... jeszcze widać nie doszli. Dłuższa chwila ciszy, ułan przejeżdża nychyla się nad Adamem. Słychać głośny brzęczyk, Adam skrzywił się i podniósł ręce do uszu.

ADAM: Tu Boney dwa... Z radością — Już znaleźliście?... dobra... No to naprawiajcie prędko i wracajcie! Marek, tylko uważaj, idźcie z powrotem wawozem, słyszysz? Do ułana: Już się wyłaczył. Linia była przerwana 500 metrów stąd, dobrze, że nie dalej. Do mikrofonu: Boney jeden, tu Boney dwa... tak, już naprawione... dobrze mnie słyszycie?... Dobra... bądźcie dalej na podłuchu... jeszcze nie koniec tej zabawy. Słychać z góry głos. GŁOS: Nie ma tam Małeckiego?

ULAN zrywa się i biegnąc ku wyjściu: Jestem, panie szefie! Idę. Do Adama: Wpadnę tu jeszcze! Wybiega.

SCENA VII

ADAM potem GRZEŚ:

ADAM do mikrofonu: — Advans?... Advans?... mamy już połączenie z dywizjonem, sami zawiadomicie?... dobrze?...

Zupełnie cicho sprawdza wszystkie połączenia,

przy czym kilkakrotnie spogląda na zegarek.

Na odgłos nowych wybuchów podnosi głowę i nadsłuchuje, odsuwając z uszu słuchawkę; w

prawej ręce dymiący papieros. Po dłuższej

chwili, kiedy milkną na chwilę wybuchy, z

góry słychać ciężkie kroki. Adam patrzy na

drzwi. Powoli wchodzi Grześ. Przystaje u wej-

ścia. Twarz okopcona, ubranie, zwłaszcza jasne

spodnie, poplamione krwią i ziemią. Idzie

wolno ku swemu posłaniu, zdejmując torbę i

aparat, wyraźnie potrząskany odłamkami.

Stawia, prawie rzucając je pod łóżko. Siada, nie

patrząc, sięga po ręcznik, wyciera nim twarz

i odrzuca go. Opiera się głową o ścianę, cały

czas nie patrzy na Adama, który w chwili

jego wejścia zrobił ruch, jakby chciał się zer-

wać, na wezwanie coś powiedział do mikrofonu.

Teraz patrzy na Grzesia, otwiera usta, jakby

chciał pytać. Znowu wezwany z linii do mikro-

fonu, bardzo cichym szeptem: —

ADAM: Tak... tak... jestem... słucham...

dobrze... dobrze.

Znowu zwraca oczy na Grzesia, który nagle

wstał szybko, podniósł plecak Marka, rozglą-

da się po jego posłaniu, poczęstował, na

którym leżały rozpakowane paczki, bierze otwar-

tą książkę, z której na ziemię wypada list.

Podnosi go, wkłada między stronicę, zamyka

książkę. Powoli pochyla głowę. Adam opiera

czoło na otwartej dłoni. Milczą obaj. W tym

milczeniu kurtyna powoli opada.

W 17 numerach „W Drodze” drukowali swe prace następującej autorzy:

Apenszlak Paulina, As-set, Bader Karol, Baliński Stanisław, Batdori Sulamit, Bazarewski Jerzy, ks. Benoît Piotr, Bratkowski Włodzimierz, Broncel Zdzisław, Broniewski Władysław, Brzega Wojciech, Czapski Józef, Czechowicz Jadwiga, Czuchnowski Marian, Danilewiczowa Maria, Domański Witold, Estreicher Karol, Fajans Roman, Gałeczki Jerzy, Giedziński Henryk, Gdowski Jan, Górecki Marian, Gram Michał, Grzybowski Kazimierz, Hagemaier Włodzimierz, Herling-Grudziński Gustaw, Hoffman Jakub, Holme H. C., Hirschberg J., Janusz Jan, Jarema Józef, Jaworski Władysław, Jono Michał, Jordan Jan, ks. Kantak Kamil, Kleszczyński Ignacy, Knake Janusz, Kościakowski Stanisław, Kot Stanisław, Kotłuziński Antoni, Kotowicz Zygmunt, Kurdybacha Łukasz, Larren-Lencowski Jerzy, Lubartowski Stefan, Łączkowski Bohdan, Łobodowski Józef, Michalski Franciszek, Makowski Michał, Mieroszeńska Ewa, Milewski Zygmunt, Minc Bronisław, Minder Jerzy, Morawiec Zdzisław, Mrowiec Alfons, Nadlerowa Eugenia, Naglerowa Herminia, Nowak Józef, Obertyńska Beata, Olz St., O—ski J., Paczkowski Jerzy, Pajak Antoni, Parnicki Teodor, Petry Maria, Piwowar Lech, Prus Konrad, Pruszyński Ksawery, Rajkowski Witold, Rivet A., Rzeczycki Ignacy, Skąpski Adam, Sokółow Florian, Sowicki Tadeusz, Szanfary Teofil, Szczerbiec Dominik, Szymański Antoni, Terlecki Tymon, Tuwim Julian, Waligórski Andrzej, Wańkiewicz Melchior, Weintraub Wiktor, Wierzyński Kazimierz, Wittlin Tadeusz, Wolica Barbara, Wolker Jerzy, Żuławski Teodozja.

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze” ukażą się w najbliższym czasie następujące tomy poezji:

ZDZISŁAW BRONCEL

ŁASKA NOCY

*

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBÓR POEZJI

1925—1944

*

TADEUSZ SOWICKI

ZWROTNIK WILKOŁAKA

DWUDZIESTOLECIE POLSKIEJ YMCA

W dniu 8 grudnia b. r. Polska YMCA obchodziła 20-lecie swej działalności jako niezależnej, polskiej instytucji społecznej.

YMCA amerykańska, która z wojskami gen. Hallera przybyła do Polski w r. 1919 po chlubnym i niezapomnianym okresie pracy frontowej, przez żołnierzy została przyjęta do polskiej rodziny jako „ciocia Imcia”.

Z inicjatywy polskich jej współpracowników przetrwała się powoli z rdzeniem amerykańskim.



Święcone u lotników. Porcja polskiego bigosu w świetlicy Polskiej YMCA. Anglia

skiej w czysto polską organizację. W dniu 8 grudnia 1923 r., po prawie rocznym okresie organizacyjnym, odbywa się Pierwszy Walny Zjazd Delegatów Polskiej YMCA.

Jakiż jest bilans 20 lat pracy tej popularnej w Polsce instytucji?

Wprowadziła nowe, pożyteczne metody pracy społecznej, popularyzowała sport i wychowanie fizyczne (tak mało do r. 1922 w Polsce znane). Wybudowała własne gmachy-ogniska, warsztaty szerokiej działalności kulturalno-oświatowej, społecznej, wychowawczej i sportowej w największych miastach Polski: Krakowie, Warszawie, Łodzi, Poznaniu i Gdyni. Wprowadziła ideę campingu, budując kilka obozów, w których co roku spędzało wycieczki tysiące młodzieży szkolnej i robotniczej.

Na szeroką skalę zakrojono szkolenie przodowników pracy społecznej. Działalność



Wieczór piosenki polskiej i angielskiej w świetlicy Polskiej YMCA na polskiej stacji dywizjonów myśliwskich. Anglia.

ta tylko w pierwszych latach była częściowo finansowana przez YMCA Amerykańską; ostatni dziesięć lat Polska YMCA działalność swą opiera wyłącznie na własnych, polskich podstawach gospodarczych.

Wiosną roku 1939 Polska YMCA sposobiła się do pracy opieki nad żołnierzem w czasie wojny. Szkoli do tej akcji tysiące pracowników, gromadzi fundusze. W kampanii wrześniowej Polska YMCA stała do pracy wśród wojska i ludności ewakuowanej. W końcu września grupa pracowników, z jej dyrektorem generalnym, Amerykaninem Paulem Superem, przedostała się na Węgry i do Rumunii.

Z tą chwilą zaczyna się nowa karta historii Polskiej YMCA, historii, jakiej nie miała i chyba mieć nie będzie żadna z innych YMCA w świecie.

Polska YMCA jest z uchodźcami i wojskiem na Węgrzech i w Rumunii, potem z wojskiem we Francji i zostaje tam z nim po czerwcu 1940 r. Przebywa z internowanymi w Szajkari, z jeńcami w obozach niemieckich. Zlikwidowanej przez okupanta YMCA w Kraju udaje się dostać zezwolenie na dożywianie kilkuset dzieci, organizację kursów zawodowych, zbiorów paczek i książek dla jeńców. Towarzyszy Polska YMCA przez morza żołnierzowi polskiemu do Szkocji i Anglii, Palestyny, Egiptu, Iraku. Jest z uchodźcami polskimi w Afryce Wschodniej. Dość powiedzieć, że Polska YMCA pracuje dziś w czterech krajach. Nie zawiedzie też żołnierza z jego marszu do Polski. Gwarantuje tego daje osoba generalnego dyrektora Polskiej YMCA, wielkiego i gorącego przyjaciela Polski i sprawy polskiej — Paula Supera, który dzieli stery tej pracy i który na pracę tę dostarcza środków finansowych, ofiarne składanych przez Polonię Amerykańską.

Ciekawie może czytelnika jakie są zamierzenia Polskiej YMCA na przyszłość, po powrocie do kraju. Jako odpowiedź na to pytanie dajemy poniżej artykuł jednego z długoletnich jej pracowników, członka Komitetu Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii.

W kołach działaczy polskiej YMCA prowadzono już wielokrotnie rozmowy na temat pracy powojennej, mało jednak dotąd zrobiono dla przyszłości, gdyż nakazy potrzeb bieżących wyczerpują wszystkie źródła finansowe.

Program na przyszłość zarysowuje się nam w następujących liniach głównych:

W chwili obecnej praca Polskiej YMCA rozprzestrzeniła się w wielu krajach. YMCA jest z jeńcami i internowanymi w obozach, z



Wnętrze świetlicy polskiej YMCA u baloniarzy. Szkocja.

wojskiem w Szkocji, w Anglii, w Palestynie, z uchodźcami w Afryce.

Kiedy dzwony obwieszcza światu zwycięstwo i upragniony pokój pierwszym obowiązkiem Imki będzie zostać z tymi wszystkimi skupieniami tak długo, póki nie otworzą się możliwości wspólnego powrotu do kraju. Obowiązki pracy oświatowej i roz-

rywkowej jeszcze wzrosną. Ludzie będą się rwać do wyjazdu, a tymczasem wiele trudności zmusi ich do przebywania przez długie okresy w obozach. W tej „kwarantannie przymusu” świetlice będą miały poważną rolę do odegrania. Tak więc mamy sformułowany pierwszy cel pracy powojennej:

Pozostać w skupiskach polskiego rozproszenia po świecie, pomóc w zorganizowaniu powrotu, służyć radą i opieką w drodze powrotnej.

Jednocześnie powstanie konieczność współpracy w organizowaniu pomocy powojennej w kraju. Pomoc ta będzie niewątpliwie organizowana natychmiast po zawarciu pokoju. W myśl decyzji brytyjskich pierwsza pomoc musi być dostarczona samolotami, zanim ruszą okręty. Pomoc ta obejmie przede wszystkim: odzież, żywność, pomoc lekarską.

CONTRA SPEM SPERANTIBUS

Wśród wielu rocznic, znamionujących tak ważne dla nas chwile stulecia dziejów, nie zauważona minęła jedna rocznica.

Dn. 13 listopada 1918 r. sale Domu Serbskiego w Budziszynie zgromadziły całą kadrę narodową sławiańskich Łużyc — od ofiarnej inteligencji i duchowieństwa górnołużyckiego, które na ołtarzu obowiązku narodowego składało karierę kulturalną i kościelną, do zaciętych chłopów i hutników z Lasu Szprewskiego, którzy pazurami trzymali się swej ziemi, trwając uporczywie wbrew junkrom i urzędnikom pruskim. Po latach dziewięciu, licząc od pokoju Budziszynskiego (1018 r.), po raz pierwszy zaświadcza resztkom Słowian nadłabskich nadzieja na wyzwolenie. Już w początkach listopada, jeszcze przed załamaniem się frontu niemieckiego, na wieść o rozpadnięciu się i kapitulacji monarchii austro-węgierskiej, w sejmie saskim śmiało zabrali głos Michał Kokla i prof. Arnoszt Bart, jedyni w Niemczech, reprezentanci ludu łużyckiego.

Zjazd 13 listopada rzucił zuchwałe hasło wyzwolenia narodowego i państwowości łużyckiej. Realizację tego hasła powierzył wybranemu przez siebie Komitetowi Narodowemu, w skład którego wszedł jako przewodniczący prof. Arnoszt Bart, syn wielkiego „budziela” Łużyc Jakuba Barta — Ciśniskiego, co Mickiewiczowi Serbom tłumaczył. W początkach stycznia roku 1919 wyjechała na paryską konferencję pokojową delegacja łużycka — Arnoszt Bart i Jan Bryl. Pomocą służył im dr. Józef Pata, uczony czeski, który Łużycyom życie swoje poświęcił. Sytuacja delegacji była nad wyraz ciężka. Łużycanie dobrze sobie zdawali sprawę z tego, że pełna niepodległość małego narodu, liczącego (zależnie od kryteriów statystycznych) 120 — 150 tysięcy ludności, jest niemożliwa. Pierwotny program zawierał postulat przyłączenia Łużyc jako kraju autonomicznego do Czech. Żądanie to motywowane było m. in. argumentami historyczno-prawnymi. Łużycie minowicie stanowiły kraj Korony Świętego Wacława aż do roku 1635, kiedy to cesarz Ferdynand II oddał je w lenno dynastyczne elektorowi saskiemu Janowi Jerzemu I w zamian za pomoc w stłumieniu powstania czeskiego. W roku 1815 pokój Wiedeński oddał Prusom Łużycę Dolną i część Górnych. Z chwilą detronizacji Wettynów i Hohenzollernów lenno łużyckie formalnie przestało istnieć i winno było wrócić do republiki Czechosłowackiej, jako spadek królestwa czeskiego. Był to jednak argument zbyt słaby: Łużycie stanowią enklawę etnograficzną. Innym rozwiązaniem było utworzenie terytorium neutralnego pod administracją Ligi Narodów. Projekt ten jednak zakładał ze strony Sprzymierzonych dobrą wolę zająć się istnieniem małego narodu i narzucenia tej woli Niemcom. Woli tej brakło. Kiedy wreszcie 5 lutego 1919 r. sprawa łużycka znalazła się na porządku dziennym konferencji, sytuacja już była tak marna, że referent, dr Benesz, żądał tylko zjednoczenia obu części Łużyc jako obszaru samorządowego w granicach Saksonii i zapewnienia międzynarodowej ochrony. I ten jednak skromny wniosek poniósł fiasko.

Powracający z Paryża Arnoszt Bart został aresztowany na granicy. Przywódca ruchu łużyckiego znalazł się w więzieniach w Budziszynie i w Lipsku, a w czerwcu r. 1919 mściwie wyroki sądów niemieckich, za „zdradę stanu” zapadające, zapoczątkowały nową erę życia łużyckim w „odrodzonych” Niemczech. Ale w tych nawet ciężkich warunkach Łużycanie dowiedli zadziwiającej swej żywotności i prężności. Otoczeni przez Niemców i wśród Niemców rozproszeni, bez własnej tradycji politycznej, jedyną bodaj obok Basków mniejszość zachodnio-europejską, pozbawiona oparcia w państwie własnej narodowości, potrafili przeciwieństwo tylko utrzymać, ale nawet zwiększyć swój stan posiadania narodowego — nie jako wymierająca grupa etniczna, lecz naród na dorobku. Pierwszą ich troską było wytworzenie jednolitego kierownictwa politycznego. Próba ujęcia całego narodu w ramy organizacji partyjnej (Serbska Ludowa

Strona) zawiodła. „Domovina” za to, o mniej pronosowanej firmie politycznej, bardziej podkreślająca zadania społeczne i kulturalne, istotnie objęła całe Łużycie i rządziła nimi ze swej twierdzy — Domu Serbskiego w Budziszynie. Łużycanie zawarli blok z Polakami i Duńczykami i wraz z nimi utworzyli Związek Mniejszości Narodowych w Niemczech. Przeważnie chłopci, rzemieślnicy i robotnicy, potrafili przeciwieństwo przez swój Bank Ludowy wzmocnić stanowisko gospodarcze Łużyczan wbrew naciskowi niemieckiemu i zespolić ich w społeczność gospodarczo solidarną. Uporem swym i energią przeformowali w Saksonii wprowadzenie języka łużyckiego do swych szkół powszechnych. Gimnazjum łużyckie w Budziszynie stało się więcej niż szkołą średnią — ośrodkiem przygotowywującym pracowników kulturalnych i społecznych. Studenci łużyczcy, zamiast wyznaczać się na uniwersytetach niemieckich, nieśli z Pragi, Warszawy i Poznania, ożywczy prąd wyzwolonych kultur słowiańskich. Zdumiewającym świadectwem aktywności kulturalnej Łużyczan była ich praca — takie „Serbskie Nowiny”, które założone w r. 1842, rozwinęły się w dziennik z trzema tygodniowymi dodatkami, z nakładem do 6.000 egzemplarzy, trzy tygodniki religijne, miesięczniki — Łużycza (literacki), „Casopis Maćice Serbskieje” (naukowy) i „Sokołske Listy” — wszystko to na 150 tysięcy ludności! Nie dziwnego: te 150 tysięcy to byli ludzie, którzy nie tyle z urodzenia, ile z woli własnej, czynem swoim wbrew naporowi życia pozostają Łużyczanami.

Wiecej: Łużycanie potrafili nie tylko zachować swe tradycje, ale wyjść poza granice folkloru i dorobić się dzieł o wysokiej wartości kulturalnej.

W dorobku kulturalnym Łużyczan poczesne miejsce zajmują uczeni polscy. Polska przecież nauka w osobie W. Bogusławskiego dała Serbom łużyckim pierwszą ich historię (1861), z filologią i etnografią łużycką związane są takie nazwiska, jak J. Rozwadowski, St. Słoiński, Zd. Stieber, W. Taszycki, J. Goląbek i in.

Osiągnięcia swe jednak musieli opłacać ciężkimi ofiarami. Ciężkim ciosem stało się dla nich zamknięcie przez niemieckiego biskupa „budziszynskiego” Łużyckiego Seminarium Katolickiego w Pradze, które w ciągu dwustu zgórą lat swego istnienia (1706—1922) dawało katolickiemu odla. mowi Łużyczan kadrę kulturalną, podobnie jak Łużyczanom luwarskim — założone w r. 1716 Łużyckie T-wo Ewangelijskie w Lipsku, Ostrym prześladowaniom ulegał duchowni łużyczcy, przez zwierzchników swych przetrzymywani w głąb Niemiec. Powracający z Polski i Czech studenci nie raz musieli powracać na rolę ojcowiska lub do warsztatu rzemieślniczego, bo w Niemczech republikańskich dostęp do pracy był dla nich zamknięty. Ale Serbowie trzymali się uparcie, zawzięci — jak tylko chłop słowiański potrafi. Dopiero lata hitlerizmu złamały ich siłę organizacyjną. „Domovina” musiała się ogłosić „Związkiem Niemców mówiących po łużycku”. Nie ocalało jej to. Rok 1937 przyniósł zagładę całemu dorobkowi Serbów łużyckich. Zamknięta swą podwoje po dziewięćdziesięciu latach istnienia „Macierz Łużycka”, Hitlerowcy zagarnęli Dom Serbski i gimnazjum łużyckie w Budziszynie. W więzieniach znaleźli się redaktorowie stulecia, niemal dożywających pism łużyckich. Wojna jeszcze bardziej pogłębiła niedolę Łużyczan. Inteligencja serbska szła do obozów koncentracyjnych, na place egzekucyjne. 26 czerwca 1942 r. oddał życie za sprawę Łużycy ich ofiarny rzecznik, prof. Józef Pata. Ostatnie wiadomości mówią o zdecydowanym zamiarze Niemców ostatecznej fizycznej likwidacji tej wyspy słowiańskiej.

Smutno było 13 listopada 1943 r. na Łużycach. Nie bardziej o tym dniu pamiętaliśmy i my, którzy przeciwieństwo najgłębiej powinniśmy rozumieć i cenić upór i bezkompromisowość Łużyczan w ich walce o narodowość. Jedynie w dalekim Texasie, wychodzący łużyczcy (ok. 4.000) po staremu kupą się trzymając wokół centrum swych kolonii, miasteczka Serbina, wspomnieli może o porwie swego narodu do wolności.

Michał Jono

Ale znajdą się też odcinki pracy, wymagające natychmiastowego uruchomienia po wojnie: w zakresie migracji ludności. Nie wątpię, że harcerstwo i Imka otrzymają propozycję objęcia obozów reemigracyjnych dla młodzieży, wracającej dziesiątkami tysięcy z przymusowej pracy w Niemczech. Trzeba będzie tę młodzież nie tylko poddać kwarantannie sanitarnej, ale i duchowej. Odżywić przede wszystkim, ale i wyprostować duchowo, nareszcie podać im prawdziwe, odbarwione z



W kantynie polskiej YMCA u Junaków w Palestynie.

propagandy dzieje tej strasznej wojny i tytanicznych zmagani. Ukazać zarysy nowego świata, natchnąć entuzjazmem do czekającej ich odbudowy domostw z ruin i odbudowy wiary, zaufania i braterstwa.

Z tych obozów kwarantannowych młodzież przejdzie zapewne do obozów selekcjonowania, gdzie po badaniach i wywiadach co do zamiłowań, zdolności i fachu będzie kierowana do obozów przeszkalających i stamtąd odesłana do pracy.

Ambicją szczególną Polskiej YMCA jest zdobycie od YMCA angielskiej i amerykańskiej jak najwięcej sprzętu i techników na ten okres. Może to nastąpić przez wycofanie części używanych radiodiodników, może sprzętu demobilizacyjnego (koce, mundury, sprzęt kantynowy i t. p.).

Zdając sobie sprawę z olbrzymiej skali tej pracy, liczymy tylko na taki wydzielony odcinek, na jaki starczy ludzi i środków technicznych, głównie na odcinek pracy z młodzieżą męską w wieku od 11 do 21 lat.

Uwagę naszą przyciąga również problem burs dla młodzieży męskiej, osierociącej. Jednym z tragicznych spadków tej wojny będą tysiące dzieci-sierot. Już w tej chwili na Bliskim Wschodzie jest ponad 7.000 sierot!

Dalszy problem w okresie bezpośrednio następującym po wojnie to praca z młodzieżą, która przebywała w kraju. Zorganizowanie dla niej ośrodków społecznych, dożywiania, obozów wypoczynkowych, tak długo zabronionych sportów i wycieczek turystycznych winno się mieścić w programie pracy YMCA w tym okresie.

W odbudowie długofalowej, jaka nastąpi po krótkim okresie 1—2 lat pomocy ratunkowej, rola YMCA będzie ściśle przystosowana do planu ogólnego, który zapewne i na odcinku młodzieżowym wymagać będzie precyzyjnych opracowań. Trudno dziś powiedzieć, jakie ramy zakresi przyszłym organizacjom społecznym przysięże życie polskie. W każdym razie, jeżeli rozwijać się ono będzie w zdrowych demokratycznych formach, to zapewne wszystkie siły społeczne dopuszczone będą do pracy w atmosferze wolności i współpracy. Program długofalowy odbudowy Polskiej YMCA rozpadnie się na dwa wielkie działy:

a) Odbudowa własnego aparatu pracy: organizacja, ludzie, gmachy, urządzenia.

b) Użycie tego aparatu do pracy dla społeczeństwa na wyznaczonym odcinku.

Niewątpliwie okres powojenny charakteryzować będzie spontaniczny pęd w górę do oświaty i postępu społecznego najszerszych warstw ludowych. Okres ten wymagać będzie przodowników zarówno pracy fachowej, jak i ludzi z charakterem, którzy potrafią budzić entuzjazm do pracy i postępu i organizować zapał młodzieży do pracy społecznej.

Gmachy YMCA staną się w daleko większym stopniu, niż to było przed wojną, ośrodkami kształcenia przodowników społecznych.

Nie wątpię, że wyciągnąwszy wnioski z błędów i zaniedbań poprzedniego okresu położą się nacisk na tworzenie ośrodków wiejskich i robotniczych. Wzorowe uniwersytety ludowe i robotnicze YMCA powinny być na pierwszym miejscu w jej planie rozbudowy.

Nie trzeba podkreślać, że wszelkie rozważania na temat przyszłości są ściśle uzależnione od losów wojny i losów przyszłego pokoju. Zwycięstwo ustrojów totalistycznych — przekreśla wszelką możliwość pracy dla organizacji społecznych. Nie było pracy YMCA w Rosji, skończyła się praca YMCA w Niemczech w r. 1937 rozwiązaniem tej organizacji przez Hitlera.

Dlatego też, jak i wszyscy Polacy, całym sercem życzymy zwycięstwa światu anglosaskiemu, z którym sprzymierzyła się w tej wojnie sprawa polska i wielu innych narodów.

Zwycięstwo tego obozu gwarantuje, że życie w przyszłym świecie rozwijać się będzie w atmosferze wolności i tolerancji, gdzie każda żywa i twórcza siła społeczna wypowie się we własnych, oryginalnych formach, dając w sumie tak pożądaną bogactwo objawów życia społecznego, podporządkowanego dobru społeczności.

aw.

OPINIE ANGIELSKIE Z PRASY OBCEJ

Zjazd nauczycielstwa polskiego.

Milczenie konspiracji otacza wszystko, co się dzieje w kraju. W grę wchodzi życie ludzkie i w grę wchodzi istnienie walki podziemnej. Jest to bardzo kłopotliwe dla pisarza czy propagandy, ale w sprawach tych ani pisarz ani propagandysta nie mają prawa głosu. Tym cenniejsze są jednak materiały, które wolno publikować.

W dniach 1, 2 i 3-go października 1943 r. odbywał się w Londynie sejmik nauczycielstwa polskiego. Obrady oparte były w głównej mierze na rezolucji, przesłanej do Londynu przez departament szkolnictwa Kierownictwa Walki Podziemnej. Rezolucja ta jest jednym z nielicznych dokumentów tego rodzaju, które doczekały się publikacji. Prawdopodobnie dlatego, że nie wchodziły w tajniki praktycznych dokonań, które muszą pozostać we mgle konspiracji, wyraża tylko dążenia i poglądy ludzi, którzy pod okupacją stanowią jedyną legalną i uznaną przez wszystkich Polaków władzę.

(Dokument składa się z trzech części: 1) uchwały w sprawach politycznych; 2) uchwały w sprawie demokratyzacji życia społeczno-gospodarczego i oświatowo-kulturalnego; 3) uchwały w sprawie ruchu nauczycielskiego.

Uchwały polityczne stoją na stanowisku „Deklaracji Zasad” Rządu Polskiego, w której widzą „zapowiedź budowania Nowej Polski, opartej na zasadach wolności, równości i sprawiedliwości społecznej, tych podstawowych warunkach do rozwoju kultury i oświaty w kraju. Pragniemy, aby prace przygotowawcze na przyszłość, realizujące te zasady, były podejmowane w oparciu o polityczne, gospodarcze i kulturalno-oświatowe organizacje i zespoły demokratyczne w Kraju i zagranicą”. „Witamy z uznaniem proces scalania się zespołów wojskowo-niepodległościowych, tworzenie jednolitej podziemnej siły zbrojnej krajowej, zespolonej organem zacyjnie z Armią Polską na obczyźnie.” „Armię uważamy za zbrojne ramię narodu w walce o słuszną sprawę oraz stanowisko w układzie stosunków międzynarodowych. Używamy wojska i osób wojskowych do wewnętrznych rozstrzygnięć społeczno-politycznych uznajemy za zjawisko szkodliwe i zgubne w swych skutkach dla normalnego kształtowania życia oświatowo-kulturalnego i społeczno-gospodarczego oraz dla zdrowia moralnego całego narodu”.

Uchwały w sprawie demokratyzacji życia społeczno-gospodarczego i oświatowo-kulturalnego są najbardziej ciekawą i godną rozpowszechnienia częścią rezolucji. Są one wyrażeniem socjalistycznej w swych założeniach, — a pamiętajmy, że są oficjalnym wyrazem Kierownictwa Walki Podziemnej, w którego skład wchodzi przedstawiciele czterech głównych stronnictw politycznych. Są zresztą dowody na to, że rezolucja nie jest przypadkowym czy nie przedyskutowanym „wyskokiem”, ale wynikiem gorącej — nieraz bardzo namętnej — dyskusji w kraju i prawdziwie demokratycznego kompromisu.

„Przebudowa ustroju społeczno-gospodarczego i kulturalno-oświatowego może być dokonana wyłącznie przez warstwy pracujące, warstwy posiadające bowiem nie umiały czy nie chciały rozwiązać wielkich problemów naszej doby. Wobec narastającego napięcia przeciwności społecznych, w celu uniknięcia wielkich wstrząsów społecznych i zaspokojenia energii społecznej przy tworzeniu zrębowo ustroju demokratycznego kraju i zapewnienia należytego stanowiska Polsce w życiu międzynarodowym, warstwy posiadające i grupy dotychczas dominujące w życiu narodu i państwa winny jako mniejszość podporządkować się i współpracować w dobrej wierze i interesie własnym i interesie narodu i państwa z obywatelami większości narodu, którą stanowią chłopci, robotnicy i pracownicy. Wobec powyższego uważamy za wskazane, ażeby: a) demokratyzacja pod względem politycznym była zorganizowana w partiach politycznych, odpowiadających strukturze społeczno-gospodarczej, b) ruch świata pracy w Polsce, w szczególności ruch chłopski i robotniczy w interesie państwa i narodu, oraz w interesie demokratyzacji życia winny współdziałać ze sobą w budowie Nowej Polski.”

W dziedzinie konkretnych reform domaga się rezolucja: publicznej oświaty dla dorosłych, bibliotek powszechnych, teatrów, muzeów i radia; utworzenia wyłącznie publicznego systemu oświaty szkolnej i pozaszkolnej z obowiązkiem nauczaniem powszechnym do lat 18-tu i t. d.

(Przecież część rezolucji poświęcona jest postulatom zawodowym nauczycielstwa. „Ruch zawodowy nauczycielski winien mieć charakter demokratyczny, a w jego ideologia, struktura, wewnętrzna organizacja oraz działalność muszą być zgodne z idealami demokracji społecznej”. „Ruch nauczycielski jest ruchem o charakterze społeczno-zawodowym. Nie może on zatem ograniczyć się wyłącznie do obrony postulatów zawodowych nauczycieli, gdyż nie może pominąć w swym działaniu spraw oświaty i kultury. Z funkcji społecznych szkoły wynika konieczność zajmowania się problemami społeczno-oświatowymi, a te stawiają ruch nauczycielski wobec zagadnienia ustosunkowania się do warunków społeczno-politycznych i gospodarczych”. „Rozpraszanie ideowe i organizacyjne ruchu zawodowego robotników i pracowników umysłowych utrudnia realizację postulatów demokracji i opóźnia postęp społeczny, natomiast pogłębia podział społeczny Polski na „elitę” i „lud”, utrwalając różnicę między pracownikami fizycznymi i umysłowymi. Ruch nauczycielski, dążąc do stworzenia jednolitych podstaw społecznych i kulturalnych, wypowiada się za powołaniem do życia jednolitej centrali związków zawodowych pracowników fizycznych i umysłowych”.

Treść rezolucji zjazdu londyńskiego. — pokrywająca się zresztą z powyżej cytowaną rezolucją krajową — byłaby jednak niekompletna bez tła sali obrad. W Ognisku Polskim w Londynie zebrał się nauczycielstwo polskie, których burza wojenna zagnała do Anglii. Angielski czytelnik niektórych pism brytyjskich — niestety, przeważnie lewicowych — które zbyt łatwowiernie bora za dobrą monetę dość niewybredną propagandę polityczną (tak! polityczną) Sowietów, na pewno spodziewałby się tu zastać czarne tużurki i sztywne kornierzyki „headmasterów” polskich „public schoolów”, lub przynajmniej dobrze skrojone mundury oficerskie i rogatywki (symbol, niestety, nie zbyt miłych dla Anglika skojarzeń). W rzeczywistości sala była pełna szeregowych i

pestek. Poważne twarze ludzi młodych, którzy przeżyli wiele i wiele przemysleli. Nie uwierzyliby czytelnik angielski, widzący w nas naród „land-lordów”, że w ciągu całego czasu obrad zabrzmiiał tylko jeden — jedyny i osamotniony — głos reakcji społecznej, który spotkał się z natychmiastową odpawą. Trzeba było słyszeć głosy, nabrzmiałe pasją, piętnujące „tych, co wszystko zapomnieli, a niczego się nie nauczyli”, aby pojąć głęboką pomysłowość tych lewicowców angielskich, którzy tak łatwowiernie poddają się sugestywnej propagandzie.

Może zresztą jest w tym także trochę naszej winy. Trochę więcej propagandy szarego, pracującego i walczącego Polska, a cała „falszowana śmieszka” naszej reakcji ukaże się w swej najprawdziwszej proporcji: jeden na tysiąc.

„One World”.

Trudno z Anglii pisać o Ameryce, ale nie można tego problemu ominąć. Anglicy zdają sobie sprawę z tego, czym Ameryka będzie nie tylko dla przyszłego układu sił, ale wogóle dla nowego ładu świata. Dlatego to olbrzymie, nie gasnące zainteresowanie sprawami amerykańskimi. Dlatego szpały gazet angielskich pełne są wiadomości z Ameryki i o Ameryce. Dlatego dziesiątki książek, opisujących i objaśniających Amerykę, które ukazały się w ciągu ostatnich paru miesięcy. Dlatego wreszcie ta czujność na każde słowo, wypowiedziane za oceanem.

(W parę tygodni po książce Lippmana ukazała się w wydaniu angielskim książka Wendell L. Willkie'go p.t. „One World”. I znowu stajemy przed problemem, czy powołanie tej książki jest wynikiem siły jej perswazji, czy też zagrała ona na jakiejś czulej strunie amerykańskiej myśli politycznej. Czy zapłodniła masy amerykańskie swoją treścią, czy też zapożyczyła myśli z prądów, nurtujących Amerykę? Odpowiedź na to pytanie wydaje się łatwiejsza, niż była przy książce Lippmana. Wendell Willkie jest politykiem. Politykiem zaangażowanym w tej chwili w aktywną walkę wyborczą. Wyobrażam sobie, że jest to dość kłopotliwe dla pisarza. Zbyt wielką jest pokusa poklasku mas, zbyt łatwo można poddać się łatwym demagogom.

„One World” jest swego rodzaju reportażem z podróży naokoło świata. 26 sierpnia 1942 r. wyruszył Wendell Willkie samolotem z New Yorku jako nieoficjalny ambasador Roosevelta. (Dziwni są ci Anglosasi! Jak niewiarygodnie brzmi to zdanie dla ucha polskiego. Rywal i najgroźniejszy oponent polityczny ambasadorem swego przeciwnika!).

(W ciągu 49 dni przeleciał 31.000 mil. Był w El Alamein w przededniu zwycięskiej bitwy, która zaprowadziła Osmą Armię aż do Włoch. Potem w Jerozolimie wysłuchał Żydów, Arabów i... Anglików. Był w Beirucie, w Teheranie i w Ankarze. Potem wzdłuż i wszerz przejechał Rosję. Widział się ze Stalinem. W Chungkingu był gościem Cziang Kai-Szeka. Opis tej podróży i charakterystyki ludzi, których spotkał, są naskiowane z dużym talentem literackim. Jego skróty, anegdotyczne charakterystyki Stalinia są mistrzowskie w swej wyważoności. Nie potrafił ocenić ich trafności, nie wiem, czy obraz, jaki narysował, jest wierny, jest on jednak tak sugestywny, że czytelnik długo będzie widział Stalinia oczami Willkie'go.

Rzecz jasna, że nie wchodzi Willkie w tajniki swych rozmów. Opisuje tylko to, co widział, nie to, co słyszał. Tajemnica dyplomatyczna i wojskowa jest w tym wypadku bardzo usłużna dla polityka, gdyż nie musi się oświadczać w wielu sprawach, które dla dziennikarza byłyby obowiązkiem. Ale zato opisy są bardzo wyraziste. (Stalin) powtarzał mi wiele razy, że jego propaganda była celowo nastawiona na to, aby jego lud zniechęcił hitlerowców. Jednak aż nazbyt było widocznym, że on sam miał jakiś gorzki podziw dla sprawności, z jaką Hitler przerzucił do Niemiec prawie 94% pracujących ludności niektórych zdobytych terytoriów rosyjskich... Albo następująca anegdota: „Jego (Stalina) zmysł humoru jest bardzo męski. Śmieje się on chętnie z niezbyt subtelnych dowcipów i ciętych replik. Raz opowiadał mi o tym, że widziałem szkoły i biblioteki rosyjskie i że wydawały mi się bardzo dobre. „Ale jeśli pan, Stalinie, — dodałem — w dalszym ciągu będzie tak kształcił naród rosyjski, to w pierwszym rzędzie wykształci się pan ze swojej posiadłości. (You'll educate yourself out of a job.)” Stalin odrzucił głowę do tyłu i śmiał się bardzo długo. Ze wszystkich go, co mu mówiłem i co mówił mi inni w mojej obecności w ciągu tych dwu długich wieczorów, nie zabawiło go nic bardziej, niż ta moja odpowiedź”.

O Polsce i sprawach polskich jest parę krótkich wzmianek. Przeważnie nieomówień i ogólników. Jak zwykle, gdy Willkie puszcza się na śliski teren zasadniczych oświadczeń. Ciekawą jest uwaga o owej Polsce, którą spotkał w Rosji i która „zdawa mi obersne sprawozdanie o systemie sowieckim. Sprawozdanie, które nie bardzo było zgodne z oficjalną propagandą”.

Ostatnia, — ideologiczna część książki jest najsłabsza. Doczytała się w niej można wszystkiego. Nie przemawia tu już obserwator ale propagandysta i polityk. Pewien mój znajomy, który ma bardzo wielkie wyobrażenie o swej własnej wnikiwości politycznej, twierdzi, że książka Willkie'go jest bardzo niebezpiecznym odzwierciedleniem amerykańskiego imperializmu i na dowód swej tezy przytoczył parę wymownych cytatów. Inny mój przyjaciel, liberal i pięknotuch, entuzjastycznie — znowu na podstawie cytatów — potępował i liberalizm myśli Willkie'go. Ktoż to powiedział, że „mowa jest najdoskonalszym sposobem ukrywania myśli”?

Dominik Szczerbiec

Uwaga!!

DLA P. P. WOJSKOWYCH
Mundury wojskowe, na miarę i gotowe
koszule, spodnie długie i szorty po cenach
„utility”

PRESSLER

Ben Jehuda 20a,

Tel-Aviv

Litwinow i dyplomacja sowiecka

W Ameryce ukazały się biografie Litwinowa piora Uphama Pope'a. Pisze o niej Louis Fischer w „New York Herald Tribune” z dn. 17 października b. r. A

Litwinow — dyplomata, podkreśla Fischer, jest postacią tragiczną. Tragicznie sprawdziły się jego wielokrotne ostrzeżenia przed imperializmem niemieckim. „Równie tragicznym i ironicznym było pokłosie jego tryumfu z lipca 1933 r., kiedy udało mu się nakłonić Rumunię, Łotwę, Estonię, Litwę, Persję, Czechosłowację, Turcję, Afganistan i Jugosławie (autor artykułu przeoczył tu Polskę — przyp. red!) aby podpisy się pod jego definicją napastnika. Był on zawsze bardzo dumny z tego swojego osiągnięcia, albowiem dowodził, że przed powstrzymaniem napasici trzeba ją zdefiniować. W prostych słowach Litwinow stwierdzał, że napastnikiem był naród, który najężdżał albo w inny sposób atakował inny naród, i dodawał że „żadne polityczne, wojskowe, gospodarcze albo też inne względy nie mogą służyć jako wytłumaczenie czy też usprawiedliwienie napasici”. A potem dożył do chwili, kiedy jego własny rząd dokonał agresji przeciwko kilku z pośród tych właśnie państw, które podpisały traktaty, akceptujące definicję Litwinowa. Dla usprawiedliwienia tej agresji p. Pope używa dokładnie takich samych tłumaczeń, jakie w traktatach tych zostały uznane za bezprawne”.

Bardzo ciekawe są motywy dymisji Litwinowa, podane przez autora książki: „Sowiety, — mówi on, — spodziewały się, że Londyn i Paryż pójdą na politykę pacyfikacji i stąd dla Moskwy „jedyną nadzieją było próbować zbliżenia z Hitlerem”. Litwinow wiedział, że „pozostanie jego przy władzy byłoby dla Hitlera znakiem, iż polityka taka była tylko chwilowym wybiegiem. Litwinow musiał odejść. I sam zaproponował to”. Znaczy to, że 3 maja 1933 r., kiedy Litwinow zrezygnował, Stalin zdecydował, iż nie chce, aby pakt z Hitlerem był uważany za chwilowy wybieg. A zatem, rozmowy w Moskwie z brytyjskimi i francuskimi urzędnikami, które przyszły potem w lecie, były tylko częścią manewru, którego celem było otrzymanie od Hitlera jak najlepszych warunków, i nawet gdyby rozmowy prowadzone były przez Chamberlaina albo Halifaxa zamiast mniej znanego Williama Stranga, rezultat byłby dla Anglików i Francuzów ten sam, jeśli nie gorszy. Rokowania z Anglikami i Francuzami były jawne, z Hitlerem — tajne; każde ustępstwo, wydarte Anglikom i Francuzom, było użyte dla zdobycia lepszej ceny u Hitlera. Gdyby Stalin chciał ugody z Anglią i z Francją, prowadziłby z Hitlerem jawne rokowania w celu zastraszenia Chamberlaina i Daladier i wywarcia na nich nacisku, aby zawarli pakt z Moskwą”.

Francuski komentarz do mowy gen. Smutsa

Jean le Geuvel pisze w kairskiej „La Marseillaise” z dn. 5 grudnia b. r. ex re głoszącej mowy, gen. Smutsa:

„W Ameryce p. Sumner Welles tylko co ogłosił pierwszy z serii artykułów, jakie pojawiają się w trzydziestu dziennikach, i w którym protestuje on ostro przeciwko wykluczeniu Francji i innych narodów z konferencji między tymi, których od pewnego czasu nazywa się „Wielkimi Mocarstwami Sprzymierzonymi”. Mówi on mianowicie: „Czego inne narody słusznie oczekują, to tego właśnie, że apetyty wielkich mocarstw są sprawowane władzy o charakterze autorytatywnym będą w miarę sprawowania tej władzy wzrastały i że kiedy przyjdzie nareszcie godzina stworzenia międzynarodowej organizacji, pozostali członkowie narodów sprzymierzonych mogą stanąć w obliczu decyzji politycznych, na które mogą się wcale nie godzić”.

Jesteśmy szczęśliwi, że słyszymy następnie życzenie na które piszemy się z całego serca:

„Trzeba mieć nadzieję, że najbliższe spotkanie kierowników rządów Rosji, Wielkiej Brytanii i Chin położy koniec niepewnościom, dzięki deklaracji, zapowiadającej natychmiastowe utworzenie rady wszystkich narodów; w radzie tej wszystkie państwa, wchodzące w skład Zjednoczonych Narodów, będą reprezentowane bezpośrednio lub pośrednio, gdy zostaną powzięte decyzje polityczne, które zdecydowały o układzie przyszłego świata”.

Czyż jest rzeczą rozsądną przypuszczać, że naród francuski, albo narody innych krajów okupowanych, kiedy przyjdzie dzień ich wyzwolenia, poproszą zgodzą się na rozwiązania polityczne, dotyczące ich praw suwerennych i ich przyszłości, a w których wypracowaniu i decyzji nie pozwolono im uczestniczyć?”

Były zastępca kierownika Departamentu Stanu ostrzega następnie wielkie narody w obliczu niebezpieczeństwa, iż stworzenie „dyktatury czterech wielkich mocarstw” byłoby powtórzeniem błędów Ligi Narodów, której główne decyzje były prawie że niezmienne powzięte wyłącznie przez wielkie mocarstwa”.

Istnieje jednak — pisze dalej Jean le Geuvel — niebezpieczeństwo może jeszcze groźniejsze: czyż nie ryzykuje się w ten sposób, że narasta wielka gorycz, wśród „małych narodów” — że użyjemy modyj terminologii — które zresztą wcale nie przełaziły mniej krwi od innych i nie poniosły mniej ofiar terytorialnych i wojskowych...

Gorycz ta może się ujawniać na dwa różne sposoby, oba równie groźne.

Pewne narody, mniej energiczne, mniej żywotne, pogrążą się w fatalistycznej obojętności i poczną tracić stopniowo zainteresowanie dla samych nawet zasad, w imię których walczyły, pozwolą się prowadzić przez wielkich sojuszników, dadzą się w ten sposób zwieść ślaniem, który będzie pożywką dla ambicji imperialistycznych, typu imperium japońskiego czy Niemiec. Inne przybiórą wobec dyktatorskich zapędów „Wielkich mocarstw Sprzymierzonych” pozycję odwrotną: zamkną się i zamurują w ciasnym nacjonalizmie, choćby nawet kosztem żalosnej wegetacji. A dojdzie do takiego stanu byłoby żalosną klęską polityki, jaką uprawiamy i dla której narody sprzymierzone zgodziły się, zgadzają i gotowe są jeszcze w przyszłości ponieść tyle ofiar. Powinniśmy stworzyć pod groźbą pozostawienia naszym potomkom w spadku nowej wojny, międzynarodową organizację, opartą na wzajemnym zaufaniu narodów, wszystkich narodów, na jej woli jednolitej, wspólnie gospodarczej i intelektualnej; powinniśmy stworzyć mistykę międzynarodowej współpracy. A mistyka ta może powstać tylko wśród równych członków”.

O działalności Amgotów

W październikowym zeszycie nowojorskiego miesięcznika „Harper's Magazine” Hiram Motherwell ogłosił artykuł p. t. „Wojskowa okupacja i co wtedy?” („Military Occupation and Then What?”), poświęcony krytyce koncepcji Amgotów. Motherwell jako korespondent chicagowski „Daily News” obserwował po tamtej wojnie funkcjonowanie amerykańskiej okupacji wojskowej w Niemczech, w Koblencji.

Motherwell podkreśla przede wszystkim ogromne uprawnienia Amgotów. Tak np. według istniejących przepisów wojskowych, departament gospodarczy zarządu wojskowego „ma kontrolować rolnictwo, fabryki i handel okupowanych terytoriów, ich kopalnie i stacje benzynowe, eksport i import, zaopatrzenie mieszkańców w żywność, opał i inne artykuły pierwszej potrzeby, rynek pracy, strajki, lockauty, konflikty i — jak gdyby autor obawiał się, że mógł czegoś zapomnieć — tym podobne sprawy”.

Zarządy wojskowe będą z natury rzeczy zawsze starały się zakonserwować stan istniejący i zostawić możliwie z niewielkimi zmianami istniejącą administrację. Co najważniejsza, zarządy te staną w wyzwalanej Europie wobec zadań gospodarczych niezwykle trudnych i na niezwykle wielką skalę. Na to, aby się mogły z tymi zadaniami skutecznie uporać, nie posiadają one dostatecznych kwalifikacji fachowych i struktura ich jest zbyt sztywna. „Przypuśćmy, że generał, zarządzający danym terenem, wydaje rozkaz, iż takie a takie towary mają być wysłane z portu wejściowego do składu na jego terytorium. Nie ma on jednak do dyspozycji lokomotyw, nie przyszedł zapowiedziany węgiel, a na linii kolejowej jest strajk. Próbuje więc rekrutować lokomotyw skądś w swej strefie. Do generała, zarządzającego najbliższym terytorium, w którym są kopalnie węgla, wysyła się zatem żądanie, które „musi być wykonane”. Skierowuje się ultimatum do strajkujących, którzy odpowiadają, że należą się zwrócić do partii politycznej, od której związki zawodowe otrzymują rozkazy. Okazuje się, że lokomotywy mogą być dostarczone dopiero w przyszłym tygodniu, żądany węgiel jest konieczny potrzebny w miejscu wydobycia, a partia do której się należą zwrócić, jest nielegalna. Co może zrobić w takiej sytuacji generał, którego jedyną sankcją są karabiny?”

Staby Generalne stają się w takiej sytuacji gigantycznymi centrami administracyjnymi i rozdzielczymi wielkich terytoriów Europy. Zdaniem autora, gros zadań gospodarczych Amgotów powinno być przekazane cywilnej instytucji OFEC („Office of Foreign Economic Coordination”) i upodrzędzonej jej OFERO („Office of Foreign Relief and Rehabilitation Operations”).

Straty i rezerwy rosyjskie

„The Saturday Evening Post” z 11 września ogłasza obszerny artykuł Edgara Snowa na temat możliwości zimowej ofensywy sowieckiej. Znajdujemy w nim ciekawe obliczenia dotychczasowych strat rosyjskich:

„Rok temu Wendell Willkie ogłosił w Moskwie wywiad po rozmowie ze Stalinem na Kremlu, w którym podał cyfrę „5000 000 strat”. Czerwonej Armii. Ponieważ oświadczenie to przeszło przez cenzurę, było ono w szerokich kołach uważane za autorytatywne. Tuż przed ofensywą niemiecką rząd sowiecki podał oficjalnie liczbę zabitych i zaginionych na 4.200.000 — niesłychaną cyfrę. Większość ludzi uważała, że cyfra ta była ponizej rzeczywistości, i to być może znacznie. Ale z pewnego godnego zaufania rosyjskiego źródła z naciskiem podnoszono, że liczba strat była raczej przesadzona, aby wprowadzić Niemców w błąd, jeśli idzie o rezerwy...”

Przed obecną ofensywą Nazi twierdzili, że zabili i zranili 12 000 000 Rosjan, zaś wzięli do niewoli 5 400 000. Wiemy napewno, że twierdzenia te są fantastyczne. Ale w jakim stopniu fantastyczne?

Z początkiem wojny przypuszczano się, iż siły zbrojne Rosjan wynosiły około 6.000 000 ludzi. Do stycznia 1942 r. liczba ta mogła wzrosnąć do 15 000 000, chociaż niektórzy uważają, iż cyfra ta została osiągnięta dopiero późno w bieżącym roku.

Około 70 000 000 ludzi żyło na terenach sowieckich, okupowanych przez nazistów. Uważa się, iż nie więcej jak około 20 000 000 mogło ewakuować się na nieokupowane tereny rosyjskie. Stalin został więc z resztkami swojej pierwotnej armii plus około 150 000 000 ludności, z pośród której mógł mobilizować dalszego rekruta. Według przeprowadzonych gdzieś obliczeń Rosja mogłaby dysponować rezerwą mobilizacyjną 15 000 000 do 20 000 000...

Jeśli podwoimy oficjalne cyfry rosyjskie, aby włączyć także i rannych, którzy nie zostali nim objęci, zobaczymy, iż jest to nieco mniej niż połowa tej cyfry, jaką podają Niemcy jako ogólną ilość Rosjan zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Przypuśćmy, że godzimy się na cyfrę 8 500 000 jako na prawdopodobny domysł. Około 3 000 000 z tej liczby byłoby rannych, z których połowa mogłaby się wyleczyć i wrócić do czynnej służby. Dałoby to w sumie około 7 000 000 Rosjan zabitych, wziętych do niewoli, oraz takich, których rany uczyniły niezdolnymi do dalszej służby. Cyfra ta wydaje mi się dość wysoka, choć raczej skromna. Nawet jednak gdyby była ona nieco większa, jest rzeczą oczywistą, że rezerwy, które można zmobilizować, jakimi dysponuje rosyjskie dowództwo naczelne, są jeszcze dosyć duże, aby mogły przeprowadzić ofensywę na jeszcze większą skalę niż te, jakie były przeprowadzone”.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH

NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze
mundury drelichowe i wełniane, szorty,
koszule gotowe i na zamówienie, biele-
zkie trykotowa, oraz wszelkie artykuły
i galanterię wojskową a także ręcznie
haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)

TEL-AVIV, ul. ALLENBY 83

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Polonica amerykańskie

„Tygodnik Polski” o Herminii Naglerowej

Wychodzący w Nowym Jorku „Tygodnik Polski” przedrukował w numerze 39 z dn. 3 października b.r. nowelę Herminii Naglerowej p.t. „Chleb”, drukowaną w „W Drodze” z dn. 1 kwietnia b.r. Równocześnie „Tygodnik” ogłosił następującą notatkę:

„Autorka wstrząsającego opowiadania, które dziś zamieszczamy, Herminia Naglerowa, należała do czołowego szeregu pisarek w Polsce przed wojną. Najpierw jej prace nowelistyczne i krytyki literackie, podpisywane pseudonimem J. Stycz, później zaś już nazwiskiem synonowe większe utwory beletrystyczne, zwłaszcza zaś cykl powieściowy „Krausowie i inni”, wyrobiły jej w naszym piśmiennictwie rzetelne i poważne imię. Zagnana w czasie tej wojny na kramiec Syberii, przeszedłszy bezbrzmie udręki fizyczne i tortury moralne, wśród nich śmierć męża, znalazła się wreszcie pani Naglerowa wśród Polaków na Białym Wschodzie i śmiało dochodzi nas jej wzruszająca opowieść, drukowana w Palestynie w piśmie „W Drodze”.

Naszej koleżance, tak ciężko doświadczonej, składamy słowa radości, że jest znów między swymi, i słowa nadziei, że jej twórczość, której tragedia przeżyta dała nowe siły, będzie jeszcze pięknie służyć ideałom, tak wymownie zawsze broniłom przez swą autorkę.”

„Kraj mojej matki”

Staraniem Polskiego Centrum Informacji nakreślono w Ameryce w reżyserii Romualda Gantkowskiego i z udziałem Ewy Curie film o Polsce „Kraj mojej matki”. Teksty do filmu napisał Jan Lechoń. Opracowaniem muzycznym zajął się Władysław Elger, który skomponował specjalną ilustrację symfoniczną, operującą wyłącznie elementami polskiego folkloru i łączoną wariacjami motywu przewodniego „Roty”.

Elger pracuje obecnie na zamówienie jednego z największych wydawców nowojorskich Marxa nad „Rapsodią Polską” dla amerykańskich orkiestr symfonicznych.

Wystawa Czernieckiego

W Nowym Jorku otwarto w październiku wystawę poświęconą Hitlerowi i Niemcom hitlerowskim karykatur Zdzisława Czernieckiego. O wystawie czytamy w „Tygodniku Polskim”: „Czerniecki, śledzący szczytów zarówno mistrzostwa, jak i powodzenia w sobie tylko właściwym, po memlingowsku precyzyjnym rodzaju, jak gdyby szukając trudności, a napewno szukając nowych zadań i osiągnięć, zwrócił się ostatnio ku czysto malarskim rozstrzygnięciom w swej sztuce, z natury przecież bardzo literackiej, ku syntezie rysunkowej. Nowe prace Czernieckiego, wszystkie bezcenne jako dokument czasów, jako satyra i dramat, są też wszystkie niemal wielkim zwycięstwem na obranej przez artystę nowej, trudnej drodze; są wyrazem nowego stylu Czernieckiego, zaskakującego tych, co kochali się w drobniawych i portretowych finezjach. Wielki portrecista, to znaczy niemal zawsze wielki karykaturzysta, dał Czerniecki na tej wystawie prawdziwą tragicomiczną epokę Hitlera, pokazał jego sylwetkę, zobaczoną i oddaną genialnie w niezliczonych odmianach tej samej przerażającej osobowości, sylwetkę wariata i diabła, o ileż potężniejszą, bardziej artystyczną, niż jakże płaska i naiwnie śmieszna koncepcja Chaplina.”

Nowe wydanie „Quo Vadis”

Jak donosi „New York Times Book Review”, amerykański wydawca „Quo Vadis” wypuszcza na rynek księgarski nowe ilustrowane wydanie tej książki.

ww.

Na frontach wojennych świata ostatnie tygodnie nie przyniosły żadnych ważnych wydarzeń. We Włoszech ofensywa Osmej Armii na północ od rzeki Sangro poczyniła pewne postępy, ale i tu — jak i przedtem — komunikaty wojenne łatwo i często przechodziły w komunikaty meteorologiczne. Linia frontu rosyjskiego wyglądała tak, jakby była machnięta przez jakiegoś, pełnego fantazji rytmika. Ale linia ta w ostatnich dniach mało się zmieniła.

Zato na froncie dyplomatycznym byliśmy świadkami niezwykle „bluzu”: takiego natłoczenia niezwykle doniosłych konferencji, jakie odbyły się w ciągu ostatnich dwóch tygodni w Kairze. Teheranie i znowu w Kairze nie było jeszcze do tychczas w historii tej wojny. Nie dziwnego, że niektórzy z angielskich komentatorów prasowych potrafiłi głowę i mówią o najdonioślejszych konferencjach „na całe najbliższe stulecie”.

O tym, czy konferencje te naprawdę na całe stulecie były najdonioślejsze, będzie można z sensem mówić dopiero poczynając od r. 2043. Można jednak napewno powiedzieć, że były to konferencje ogromnej doniosłości i że znaczą one punkt zwrotny w historii dyplomatycznej — a może i wojkowej — tej wojny. Na pierwszym miejscu trzeba tu postawić konferencję teherańską Roosevelta — Churchilla — Stalina.

Na czym polegała ta doniosłość? Oto dotychczas państwa anglosaskie i ZSRR prowadziły coprawda wojnę z wspólnym wrogiem, zobowiązały się nie zawierać z tym wrogiem oddzielnego pokoju, poza tym państwa anglosaskie pomagały Rosji wydatnie w sprzecz wojennym, ale mimo to obie strony prowadziły dotychczas *militarnie oddzielne wojny*. Każda ze stron prowadziła operacje wojenne na własną rękę, licząc się z potrzebami tylko swojego frontu i nie wtajemniczając w swoje prace sztabowe strony drugiej. Odtąd na konferencji teherańskiej ten stan rzeczy został zlikwidowany. Plany obu stron zostały uzgodnione, zostały przetworzone w jeden olbrzymi plan szarmonizowany operacji ofensywnych przeciwko Niemcom. Dlatego komunikat oficjalny, wydany po tej konferencji, należy coprawda do lepszych pod względem literackim dokumentów tej wojny, ale jest w gruncie rzeczy nie nic mówiący: trudno informować publiczność o zamierzeniach sztabów generalnych.

Ale też i dlatego właśnie — komunikat ten, mimo że taki ogólnikowy, ma ogromne znaczenie propagandowe, jeśli idzie o Niemcy. Wymowa jego tutaj może być tylko jedna: byliśmy już dotychczas, kiedy każdy z nas prowadził tę wojnę na własną rękę, teraz rozpoczniemy przeciwko wam działania wojenne szarmonizowane, obmyślane wspólnie.

Wolno się oczywiście spytać, dlaczego to uzgodnienie planów sztabowych nastąpiło tak późno: przecież wojna sowiecko-niemiecka trwa już bez mała półtora roku. Przyczyn szukać należy we wzajemnych nieufnościach. Dlatego konferencja teherańska zakłada uprzednie porozumienie wszystkich trzech kontrahentów.

Uczestnicy konferencji teherańskiej wydali też drugą deklarację, poświęconą sprawie perskiej. Ta deklaracja ma już swoją bardzo wyraźną wymowę polityczną: gwarantuje Persji na po wojnie integralność terytorialną i suwerenność państwową. W Persji, jak wiadomo, krzyżują się istotne interesy brytyjskie i rosyjskie. Ostatnio sytuacja skomplikowała się przez pojawienie się trzeciego partnera — amerykańskiego. Deklaracja w sprawie Persji oznacza, że osiągnięto tu pewien kompromis. Gwarantem niepodległości perskiej jest balance of power jej potężnych sąsiadów. Znajduje się w takiej sytuacji, w jakiej była Polska w XVIII w. Możemy jej tylko życzyć, aby sytuacja ta rozwinęła się dla niej w przyszłości po myślniej niż dla dawnej Rzplitej.

Byłoby rzeczą zupełnie jałową bawienie się w tej chwili w przepowiednie, jak się potoczą nowe operacje ofensywne Sprzymierzonych. Jedno wydaje się w tej chwili jasnym: oto że front włoski ma dziś znaczenie drugorzędne. Chyba że będzie się uważało Sycylię i południowe Włochy za odskocznice dla ewentualnej przyszłej ofensywy Sprzymierzonych na adriatyckie wybrzeże półwyspu Bałkańskiego.

Już bez mała od roku konferencje Sprzymierzonych mają swój dalszy ciąg w postaci rozmów tureckich: w lutym b. r. po Casablance Churchill polecił do Adny, po rozmowach moskiewskich Eden konferował w Kairze z Menemendogliu, obecnie prezydent İneonu został przez rządy brytyjski, amerykański i sowiecki zaproszony do Kairu dla odbycia rozmów z Churchill'em i Rooseveltem.

Już samo to zestawienie wyraźnie świadczy, jak ogromne znaczenie przywiązują państwa sprzymierzone do zdeklarowania się Turcji w wojnie po ich stronie. Przyczyn tego nie trzeba dłużej rozwijać. Przystąpienie Turcji do wojny dałoby Sprzymierzonym szereg kapitalnych korzyści: 1) przycięcie na półwyspie Bałkańskim, skąd można by następnie rozwijać dalszą ofensywę, 2) ogromne skrócenie linii dostaw Sprzymierzonych do Rosji, z tym że mogłyby one być dostarczane bardzo blisko linii frontu sowieckiego. Rosjanie uniknęliby ogromnego, uciążliwego transportu z Aszchabadu czy Krasnowodsku na front; 3) gwałtowna zmiana proporcji sił na Morzu Czarnym; 4) osiągnięcie nowych baz lotniczych, zwłaszcza ważnych dla bombardowania obiektów nieprzyjacielskich na Bałkanach; 5) ogromne przybliżenie terenów operacyjnych sowieckich i brytyjskich. Ewentualny współdział wojsk tureckich w operacjach jest w tych warunkach korzyścią raczej drugorzędną i być może, że nie był wcale wymagany.

Poprzednie rozmowy w Adanie i w Kairze nie dały rezultatów, pożądaných przez Sprzymierzonych Turcja po odebraniu Sandżaku Aleksandrefu na krótko przed wojną nie ma dalszych pretensji terytorialnych, a obawia się wzrostu wpływów sowieckich na Bałkanach. Obecnie jednak nacisk dyplomatyczny na Turków był dużo silniejszy niż na poprzednich konferencjach. Obecność zaś na konferencji kairskiej dyplomatów sowieckich zdaje się świadczyć i o tym, że Sprzymierzeni ofiarowali tu Turkom pewne gwarancje. Najbliższe tygodnie powinny pokazać, o ile nowa konferencja kairska była skuteczniejsza od poprzednich. W każdym razie od decyzji Turków wiele teraz zależy. W historiach ubiegłej wojny światowej można się dość często spotkać z twierdzeniem, że przystąpienie wtedy Turcji do wojny po stronie mocarstw centralnych przedłużyło jej trwanie o jakie dwa lata. Dziś gdyby się Turcja

opowiedziała po stronie państw Sprzymierzonych, niewątpliwie mogłoby to znacznie skrócić trwanie wojny na teatrze europejskim.

Jak Niemcy przyjęli wszystkie te wiadomości? Popadając niemiecka usławsza zgóry uodporną publiczność niemiecką na wiadomości o odbywanych konferencjach, tłumacząc jej, że konferencje te mają znaczenie wyłącznie propagandowe, że są to tylko — obliczone na złamanie odporności niemieckiej, posunięcia w wojnie nerwów. Ale w tonie jej łatwo można było odczuć zaniepokojenie. Najlepszym termometrem są tu — jak zawsze — artykuły Goebbelsa z „Das Reich”. Gdy wojna wybuchła, Goebbels zapowiadał Niemcom szybki zwycięski jej koniec. Potem wypadło przestawić propagandę na przygotowanie ludności do długiej wojny. Później przyszły nowe akcenty: nie wiemy, czy wojnę tę wygramy, ale napewno nie możemy jej przegrać. Znacząco to tyle, co: zawsze istnieje przed nami możliwość pokoju kompromisowego. Obecnie przybyła nowa nuta: nigdy nie zgodzimy się na bezwarunkowe poddanie się Brzmi to bardzo butnie, ale w gruncie rzeczy ma sens kapitulancji. Znacząco bowiem: możemy się wam poddać, ale tylko na pewnych warunkach. Dalszy etap tego decreścendo tonu propagandy niemieckiej może już być tylko jeden: zniknięcie doktora Goebbelsa z jej sceny.

Poza tym komunikaty niemieckie chętnie uciekały od wiadomości z frontów rosyjskiego i włoskiego na Pacyfiku, gdzie mogły się pociszać fantastycznymi danymi japońskimi o zatopianych okrętach amerykańskich, i szeroko wyzyskiwały niefortunna mowa gen. Smutsa, wygłoszona dnia 25 listopada b. r. w Londynie na zebraniu Empire Parliamentary Association.

Tezy tego przemówienia zostały następnie zdezawuowane przez brytyjskiego wicepremiera Attlee i scharakteryzowane jako wyłącznie prywatne poglądy, gen. Smutsa. Można je zatem tym swobodniej krytykować.

Teżom Smutsa nie można odmówić prostoty i zwartości. Ale jest to prostota bardzo brutalna. Wolność i demokracja — tłumaczy tam Smuts — to puste hasła. Trwałość może im zapewnić tylko zasada przywództwa („leadership”). Odtąd przywództwo to na świecie wemą na siebie po wojnie trzy mocarstwa: Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka. Rosja zostanie jedynym państwem na kontynencie europejskim, które będzie naprawdę mocarstwem. Włochy jako mocarstwo już ostatecznie zniknęły ze sceny politycznej; mocarstwa sprzymierzone postarają się, aby zniknęły także i Niemcy, Francja zaś poniosła tak straszną klęskę, że na długie lata musi z roli mocarstwowej zrezygnować. W rezultacie na scenie politycznej świata jako pełnoprawne podmioty woli politycznej pozostaną tylko trzy wyżej wymienione mocarstwa. One będą decydowały o losach tego świata.

Logicznym wnioskiem takich założeń jest inne stwierdzenie Smutsa: niepotrzebne będzie po tej wojnie żadna konferencja pokojowa. Mocarstwa sprzymierzone będą załatwiali poszczególne sprawy polityczne de casu ad casum, w miarę jak sprawy te staną się aktualne.

Krótko mówiąc, Smuts zapowiada dyktaturę trzech mocarstw w powojennym świecie. One mają wziąć na siebie odpowiedzialność za utrzymanie pokoju.

Przyrównywano projekt Smutsa przyszłego urzędzenia świata do Świętego Przymierza z r. 1815. W rzeczywistości stanowi on wobec Świętego Przymierza krok wstecz. Zasady Świętego Przymierza były wysoce reakcyjne, stawały one w poprzek ruchom narodowym, zupełnie niezdolne były do oceny doniosłości wielkiej rewolucji przemysłowej, jaka dokonywała się podówczas w Europie. Ale przy tym wszystkim Święte Przymierze oparte było na pewnej zasadzie ideowej: zasadzie legitymizmu. Książę Parmy był wobec Imperatora

Wszehrosji polityczną nicością, ale książę Parmy jako koronowany władca był w zasadzie carowi rosyjskiemu równy; był tak samo jak i on pomazaniem. Zasada legitymizmu wprowadzała więc pewien korektyw do brutalnej gry sił.

W świecie politycznym według projektu gen. Smutsa zasady tej brakłoby. Państwa anglosaskie bowiem z jednej, a ZSRR z drugiej strony wyrosły z różnych zasad ideowych i ustrojowych. Wspólne im jest tylko jedno — mocarstwowość, i tylko w imię tej siły mogłyby wspólnie rządzić światem.

„Czy pokój, oparty na współpracy tych trzech mocarstw, dawałby naprawdę gwarancję trwałości? Wolno wątpić. Gwarancję taką mielibyśmy tylko w jednym wypadku: gdybyśmy widzieli, że interesy trzech sprzymierzonych mocarstw zawsze będą się ze sobą harmonizowały. Odtąd takiej pewnością nikt nie może mieć. Z drugiej zaś strony widzimy dziś już jasno, że państwa średnie i małe mają w wojnie do stracenia dużo więcej od wielkich mocarstw. Dlatego choć polityka światowa przy istnieniu wielu suwerennych państw byłaby napewno trudniejsza, bardziej pogmatwana i dużo bardziej skomplikowana, pokój gwarantowany wolą tych suwerennych państw, byłby pewniejszy. Co więcej, dyktatura trzech mocarstw musiałaby wywołać w świecie tyle niezadowolonych u innych, tych rządzonych, że niezadowolonych to łatwo dałoby się przekształcić w materiał palny dla każdego, kto chciał rozpetać nowy pożar światowy.

Projekt gen. Smutsa jest świadectwem pewnej pustki ideowej. Prostota jego wcale jeszcze za nim nie przemawia. Prościej jest rozplanować cmentarz niż żywe, rozwijające się miasto. Wywołał on w świecie gwałtowne sprzeciwy. Z pasją protestują Francuzi. Ostro skrytykował go Sumner Welles w USA. Dobrze się stało, że został on zdezawuowany przez wicepremiera Attlee. Jeszcze lepiej będzie, jeśli zdezawuje go praktyka mocarstw sprzymierzonych w najbliższej przyszłości.

[Komunikat, wydany po pierwszej konferencji kairskiej: Churchilla, Roosevelta i Czang Kai Szeka, zawierał najwięcej konkretnej treści politycznej. Po raz pierwszy państwa sprzymierzone sformułowały w nim swoje polityczne cele wojny na Pacyfiku. Zapowiedział on odebranie Japonii wszystkich jej nabytków, jakie zdobyła nie tylko w wojnie obecnej, ale i w pierwszej wojnie światowej. Zapowiedział stworzenie niepodległej Korei. Gwarantował integralność terytorialną Chin.

Czy konferencja ta przyniosła także jakieś decyzje bezpośredniej pomocy wojennej dla Chin? Chiny są w wojnie już siódmy rok. Wojna ta toczy się cały czas na terytorium chińskim i straszliwie Chiny wyczerpała. Stąd Chiny potrzebują gwałtownie pomocy Sprzymierzonych. Z drugiej jednak strony, żeby o takiej skutecznej pomocy naprawdę można było mówić, trzeba otworzyć drogę birmeńską, t. zn. trzeba odwojować Birnę Japonii.

Czy Sprzymierzeni zamierzają prowadzić taką kampanię w najbliższej przyszłości? Dużo było na ten temat swego czasu pogłosek w związku z nominacją Jorda Mountbattena. Z drugiej jednak strony wiele wskazuje na to, że strategia sprzymierzonych jest inna, że starają się oni obecnie o zajęcie dogodnych pozycji wyjściowych dla przyszłej ofensywy na wielką skalę przeciwko Japonii, że systematycznie niszczą flotę japońską, ale że z rozpoczęciem tej wielkiej ofensywy czekają na pobicie Niemców, które w kalendarium Sprzymierzonych mają wyraźnie „priority”. Dlatego też wydaje się, że najskuteczniejszą pomocą mogłaby Chinom udzielić w tej chwili Turcja, przystępując do wojny przeciwko Niemcom. Świat jest bowiem mały, a wojna — podobnie jak i pokój — jest niepodzielna.

ww.

Nauka polska w Ameryce

Bulletin of the Polish Institute of Arts and Sciences in America. Vol. 1, No. 4, July 1943. New York. Polski Instytut Naukowy w Ameryce. Str. 613 do 1064.

Pierwszy to, jaki nas doszedł, zeszyt wydawanego już od zgora roku przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce kwartalnika: okazały bezmała czterystostronicowy tom.

Polski Instytut Naukowy w Ameryce rozpoczął swą pracę wiosną ub. r. (inauguracja odbyła się dn. 15 maja). Ambicją założycieli było stworzenie placówki naukowej, która funkcjonowałaby nie tylko na okres wojny, ale pozostałaby także i po wojnie jako autonomiczna stacja naukowa Polskiej Akademii Umiejętności, podobnie jak istniejące już przed r. 1939 stacje w Paryżu i w Rzymie, dla służby nauce polskiej i współpracy naukowej polsko-amerykańskiej. Filiję Instytutu utworzono niedawno w Kanadzie, gdzie pracują prof. Mokrzycki, Pawłowski i Szczeniowski; ks. prof. Świk podjął się zorganizowania drugiej filii — w Brazylii. Instytut posiada pięć sekcji: historyczno-polityczną, prawno-ekonomiczną, historyczno-literacką, i artystyczną, matematyczno-przyrodniczą oraz oświatową. Zdołał on skupić nie tylko uczonych polskich, których wielu losy wojny rzuciły na teren Stanów Zjednoczonych (żeby wymienić tylko Gutowską, Haleckiego, Kridla, Kucharskiego, Łaskowskiego, Lednickiego, Świętosławskiego, Taubenszlagę, Turynę, Znanieckiego), ale także i Amerykanów pochodzenia polskiego oraz innych uczonych amerykańskich i wreszcie wolałnąć do aktywnej współpracy szereg wybitnych uczonych różnych narodowości, przeważnie podobnie jak i Polacy również emigrantów wojennych.

Ten ostatni punkt wymaga szczególnego podkreślenia. Stany Zjednoczone już przed wojną stawały się wielkim międzynarodowym ośrodkiem nauki. Znalazło w nich schronienie szereg wybitnych uczonych niemieckich, których wygnana rewolucja hitlerowska. Na katedrach uniwersytetów amerykańskich znaleźć można sporo emigrantów rosyjskich. Z póródu uczonych, których na brzeg amerykański wyrzuciła fala wojenna, szczególnie dużo znalazło się Francuzów, którzy zresztą już i przed wojną utrzymywali z Ameryką bardzo żywy kontakt. Przybyło ich się na ziemię amerykańską, tytuł, że starczyło ich na stworzenie w Nowym Jorku francuskiego uniwersytetu „L'Ecole Libre des Hautes Etudes”.

Tej okoliczności zawdzięczać należy, że wśród współpracowników recenzowanego zeszytu Biuletynu znalazło się kilka wybitnych nazwisk uczonych i pisarzy europejskich. Jest tu aż trzech Francuzów: Gustave Cohen, profesor Sorbony, najwybitniejszy dziś znawca francuskiego teatru średniowiecznego i badacz reformacji. Alexandre Koyré ruchliwy i bardzo płodny historyk filozofii (wydął m. in. kilka lat temu w Paryżu w swoim opracowaniu „De revolutionibus” Kopernika) oraz historyk literatury Jean Seznec. Jest wybitny niemiecki językoznawca Alfred Senn, który ogłosił tu obszerną rozprawę o litewskim słownictwie. Jest dalej Roman Jakobson, emigrant rosyjski, były profesor uniwersytetu w Brnie, jeden z najbardziej świeżych i twórczych umysłów wśród sławistów świata, który pisze tu o polsko-rosyjskiej współpracy naukowej w dziedzinie językoznawstwa z czasów z przed pierwszej Wielkiej Wojny (warto przytoczyć tu zacytowany przez niego imponujący przykład obiektywizmu naukowego, jaki charakteryzował tę współpracę, której patronowało wielkie nazwisko Baudouina de Courtenay: oto znakomity rosyjski językoznawca Szachmatow ogłosił szereg studiów, w których doszukiwał się lechickich elementów prehistorycznego jeszcze pochodzenia w języku białoruskim. Hipotezę tę zbijał Polak, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Porzeźniński). Jest tu też i wybitny ukraiński kompozytor i muzykolog, prof. Rudnicki, który pisze o roli muzyki w kulturze ukraińskiej. A przede wszystkim jest wśród współpracowników zeszytu ponad dziesięciu autorów amerykańskich, wśród nich jeden z czołowych amerykańskich krytyków, Bernard DeVoto. Warto jeszcze przypomnieć, że w poprzednich zeszytach znalazła się także jedna praca uczonego chorwackiego, Mirkovicia, i jedna czeskiego historyka, Odolizlika.

Zarówno ilość, jak i ciężar gatunkowy nazwisk uczonych obcych, tu przytoczonych, świadcza, że na polu współpracy międzynarodowej Instytut już dzisiaj ma znaczne osiągnięcia.

Zamieszczone w Biuletynie rozprawy uderzają wielką rozpiętością tematów i wielką różnorodnością ujęć. Przeważają, i to wydatnie, prace z dziedziny humanistyki, ale znajdujemy tam także i np. rozprawę amerykańskiego autora na temat geografii roślin w Pensylwanii i rozprawę innego Amerykanina o „znaczeniu chemicznej natury węgla” („The Significance of the Chemical Nature of Coal”). Do tego typu rozpiętości tema-

tycznej przyzwyczajeni jesteśmy w wydawnictwach akademickich. W naszym wypadku wrażenie pewnej pstrokaczyny podkreśla jeszcze różnorodność typów ujęcia: obok specjalnych rozpraw, podanych z całym aparatem naukowym, spotykamy się tu także i ze studiami, których właściwe miejsce byłoby raczej w jakimś miesięczniku literackim. Taki charakter ma np. cały cykl odczytów o „narodowych literaturach i idealach uniwersalistycznych”, w którym m. b. znajdujemy większe studium Sigrid Undset o literaturze skandynawskiej i rozprawę Cohena o literaturze francuskiej. Studium o polskiej literaturze w cyklu tym dał Jan Lechoń.

Poza tym, literackim, znajdujemy w Biuletynie jeszcze dwa cykle prac, związanych jednolicie tematu. Na szczególne podkreślenie — jako świadectwo związku prac Instytutu z aktualnymi problemami czasów wojny i powojennej planowania, zasługują cykl jedenasty referatów, wygłoszonych na konferencji, poświęconej zagadnieniu wyżywienia w powojennej rekonstrukcji Polski. Z wyjątkiem jednej pracy polskiej — Marii Gutowskiej — wszystkie one wyszły spod piór autorów amerykańskich. Drugi cykl — siedmiu studiów, przeważnie polskich autorów — poświęcony został Kopernikowi z okazji czterechsetnej rocznicy wydania „De revolutionibus”.

Tak więc tom Biuletynu ma trochę charakter naukowej „silva rerum”. Ale to niejednolitość okupuje z nawiązką bogactwem treści. Jest ona zresztą zupełnie wymiarem, jeśli się weźmie pod uwagę, że Instytut spełnia rolę nie tylko ściśle naukową, ale i propagandową. Omawiany tom wymownie świadczy, że tak na jednym, jak i na drugim polu praca Instytutu jest zakrojona na szeroką skalę i owocna. A trzeba jeszcze pamiętać, że tomy Biuletynu to nie jedyny owoc tej pracy. Większe studia wydaje Instytut w osobnej serii „Prace”: do lipca b. r. wyszły ich cztery tomy. Podjęto też ramach Instytutu inicyjatywę przygotowania serii przekładów angielskich podręczników technicznych dla studentów polskich szkół wyższych po wojnie.

ph

Adres Redakcji: Polish Information Centre Jerusalem, Bezael Street, House Valera

Wydawca: Ignacy Pokryw
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press